Cena zł 5.—

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE
OPERACJE
KULISY

- Dramatyczne wydarzenia największych zmagań wojennych w historii
- Przełomowe, nieznane momenty walk
- Czujnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i centrali wywiadu

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY

w którego skład wchodzi niniejszy tomik



ZAPAMIĘTAJCIE TEN ZNAK

Twierdza śmierci

14/67

STANISŁAW NAŁĘCZ

TWIERDZA ŚMIERCI

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował
MIECZYSŁAW WIŚNIEWSKI

Redaktor
EUGENIUSZ STAŃCZYKIEWICZ

Redaktor tech.: Helena Malczewska

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1967. Wydanie III.

Nakład: 120 000+280 egz. Objętość: 3,59 ark. wyd., 2,50 ark. druk. Papier: druk. sat. VII kl. 60 g., z roli 63 cm z Głuchołaskich Zakładów Papierniczych. Druk ukończono w czerwcu. Zam. nr 2687 z dnia 13.12.67 r. Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie. T-95. Cena zł 5.—

W GNIEŹDZIE WROGA

Wartownik, który stał przed budynkiem administracji portu, znieruchomiał. Zza rogu ukazała się sylwetka w okrągłej, prosto nasadzonej czapce oficerskiej, w ściśle dopasowanym płaszczu z futrzanym kołnierzem. Ledwie zdążył uchwycić wzrokiem blask butów, świetnie zaiste świadczący o zdolnościach ordynansa dowódcy obrony, gdy już prezentował przed nim broń i odprowadzał go wzrokiem aż do wejścia.

Krótki, czterogodzinny zaledwie sen nie bardzo pokrzepił pułkownika Fullriede. Szósty krzyżyk to nie żarty — myślał w duchu — człowiek traci odporność nerwową. To nie trzydziestka, gdy w kasynie pułkowym przed wyruszeniem na podbój świata w pamiętnym tysiąc dziewięćset czternastym roku pili do rana, a o dziesiątej podczas defilady wyglądali jak germańscy synowie Marsa — dziarscy i pełni woli zwycięstwa. Boże, jak ich wtedy żegnały dziewczęta! Jakim entuzjazmem grzmiały ulice! Kwiaty, powódź kwiatów, wiązanki, naręcza, girlandy... Inaczej wyglądał

rok trzydziesty dziewiąty, inaczej wyglądała cała ta wojna. Już na polską kampanię ruszali potajemnie, nie było nawet przyzwoitej mobilizacji, z nieodłącznymi czerwonymi plakatami, które przydawałyby smaku całej awanturze. Podeszli pod granicę pod pozorem manewrów jesiennych. Nikt ich nie żegnał, nikt się do nich nie uśmiechał. I na co mu teraz przyszło pod koniec życia. Bronić tej małej pomorskiej mieściny, tego portu, istniejącego chyba tylko po to, aby kilkudziesięciu rybaków mogło łowić flądry. Niewiele pocieszały go wielkie tradycje historyczne der echten deutschen *Stadt Kolberg*, o których mówił z taką emfazą szczeciński gauleiter Franz Schwede-Coburg. Co z tego, że podczas wojny siedmioletniej Kołobrzeg bronił się ileś tam tygodni przeciw wojskom Rumiancewa, cóż z tego, że nie mógł sobie z nim dać rady Napoleon? Fullriede nie czuł w sobie dość „świętego germańskiego ducha" połączonego „z narodowo-socjalistycznym światopoglądem", aby w imię tego ducha i tego światopoglądu zamienić w popiół miasto, wyniszczyć ludność, a samemu przy końcu tej imprezy pozbawić się życia i tym przypieczętować swą wierność dla führera Trzeciej Rzeszy, a praktycznie biorąc dla pomysłów kreisleitera Schwede-Coburga.

Fullriede przeszedł przez długi korytarz, otworzył energicznie drzwi. Na jego widok poderwał się z fotela oberleutnant, który przez całą noc czuwał przy telefonach. Był to młody wysoki blondyn, typ, który powieściopisarze niemieccy opatrują niezmiennie od lat stu przymiotnikiem *blutjung* (słowem nieprzetłumaczalnym na polski, ale niewątpliwie w zamiarze autorów bardzo pozytywnym).

— *Herr Oberst, ich melde gehorsam, dass die feindliche Panzertruppen nähern sich von Süden...*

Fullriede był człowiekiem, którego zmiany sytuacji militarnej niełatwo wyprowadzały z równowagi. Wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjacielskich czołgów z południa nie zaskoczyła go zbytnio. Gdy przed kilkoma dniami przybył tu z Berlina, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Jego misja inspektora obrony wkrótce uległa nieprzewidzianej metamorfozie i oto dziś, dnia 4 marca 1945 roku, dowodzi wszystkimi siłami niemieckimi mającymi bronić miasta i portu, a bezpośrednim jego przełożonym jest nie kto inny, jak sam... Heinrich Himmler, osławiony wódz niemieckiej policji i SS, a ostatnio dowódca *Heeresgruppe Weichsel*. Jakkolwiek Fullriede nie miał przekonania do talentów strategicznych tego zbira, którego mówiąc stylem oficjalnym, „Opatrzność przewidziała na wodza", to jednak musiał go słuchać. Całe wychowanie, cały porządek społeczny Trzeciej Rzeszy służyły temu celowi. Zresztą nie inaczej bywało i za czasów Republiki Weimarskiej czy cesarza Wilhelma. Podporządkowanie się przełożonemu było najwyższym prawem.

Fullriede zdjął płaszcz, który usłużny adiutant powiesił na rzeźbionym wieszaku. Z ulicy dobiegał stłumiony gwar rozmów i od czasu do czasu

nawet okrzyki. Fullriede podszedł do szerokiego weneckiego okna.

Już trzeci dzień wraz z resztkami rozbitych na Wale Pomorskim niemieckich jednostek do Kołobrzegu ciągnęły ze wszystkich stron kolumny cywilnych uciekinierów, którzy zgodnie z wyraźnym rozkazem ewakuacyjnym realizowanym przez NSDAP wysiedlani byli ze swych miejsc zamieszkania.

Napływ ludności wzrastał z godziny na godzinę i oto pułkownik Fullriede według pobieżnych obliczeń stwierdził nagle, że w ciągu ostatnich dni przybyło około sześćdziesiąt tysięcy uciekinierów.

Jak w tych warunkach realizować rozkaz führera, rozkaz bezkompromisowego oporu? Ach, gdyby to było gdzieś na froncie wschodnim — tam nie byłoby kłopotu z cywilami, ale tutaj?

Nie szło już nawet o ludzi — rozkaz trzeba było przecież wykonać bez względu na los, jaki ich czekał — a jedynie o utrudnienie w obronie miasta, o utrudnienie, które za wszelką cenę należało zlikwidować.

Tymczasem ten prosty na pozór fakt, oczywisty dla każdego żołnierza, nie mógł jakoś ani rusz trafić do przekonania tępym urzędnikom administracyjnym. Nie pomogła ostra interwencja o wydanie zarządzenia ewakuacyjnego wniesiona u kreisleitera jeszcze 1 marca, nie pomogły rozmowy w tej sprawie 2 i 3 marca. Kreisleiter zdawał się niczym nie przejmować, tłumaczył się brakiem zarządzeń z *gauleitungu* i w ogóle traktował postulaty pułkownika Fullriede bez wyma-

ganej w takich razach sprężystości. Mało tego, posunął się tak daleko, że pozwolił sobie w stosunku do dowódcy twierdzy na małą polityczną dygresję.

— Führer rozkazał bronić Kołobrzegu — mówił kreisleiter przybierając mimo woli pozę Goebbelsa — aby opierając się na bojowych tradycjach tego miasta stworzyć mit kołobrzeski. Pan, panie pułkowniku, otrzymał rozkaz obrony miasta bez względu na okoliczności i bez względu na straty. Proszę wybaczyć, ale całkowita odpowiedzialność za realizację tego rozkazu spadnie na pana. Zresztą oceni to w swoim czasie dowódca Grupy Armii „Wisła" — Himmler, na którego teterenie pan działa, a niezawodnie i sam führer, a przede wszystkim oceni pańskie postępowanie historia. Ja nic tu nie mogę pomóc, zresztą wie pan zapewne, że władzę administracyjną od 27 lutego sprawuje oberführer SS Bertling...

Pułkownik Fullriede szarpiąc swą bródkę siadł za biurkiem, by raz jeszcze przejrzeć ostatnie meldunki. Z arkuszy zapisanych równym maszynowym pismem, z obliczeń i planów sytuacyjnych wyłaniał się pełny obraz aktualnego położenia.

Poprzedni rozkaz naczelnego dowództwa i plan umocnień, opracowany jeszcze w listopadzie 1944 roku, teraz dopiero został w pełni zrealizowany. Pułkownik Fullriede mógł być dumny. Wprawdzie powołany 26 stycznia sztab obrony twierdzy pracował intensywnie, ale dopiero jego przybycie nadało pracom obronnym konieczny rozmach. Wykopano kilka kilometrów rowów przeciwpan-

cernych, które w połączeniu z naturalnymi przeszkodami wodnymi i otaczającymi miasto bagnami, tworzyły silny system. Na ukończeniu były trzy pierścienie umocnień. Największa troska pułkownika, jaką było zapewnienie odpowiedniej obrony przeciwpancernej, zdawała się być zaspokojona.

Świeżo ściągnięte wyrzutnie pocisków rakietowych kalibru 280 milimetrów zajęły już stanowiska ogniowe obok baterii nadbrzeżnych. Lada godzina pułkownik spodziewał się przybycia transportu amunicji, no i okrętów wojennych.

Okręty... Na tę myśl znów pułkownika opanował niepokój, ujął słuchawkę telefonu i zadzwonił do portowej radiostacji. Nie — ze Swinoujścia nie było dotychczas żadnych wiadomości. Pułkownik Fullriede spojrzał na zegarek. Zbliżała się godzina wyznaczonej przez niego odprawy. Wstał zza biurka, przygładził wymięty nieco mundur i wraz z adiutantem przeszedł do sali odpraw.

W niewielkiej salce koszarowej, która pamiętała jeszcze czasy junkierskiej szkoły rycerskiej, czekali już wezwani na odprawę oficerowie. Na widok pułkownika wyprostowali się służbiście, aczkolwiek na twarzach znać było zmęczenie. Nie było ich wielu: pełen energii fregattenkapitän Kolbe o typowej twarzy starego wilka morskiego, którego starania, aby ściągnąć do Kołobrzegu okręty marynarki wojennej, jak dotąd nie zostały jeszcze uwieńczone sukcesem, poważny i skupiony dowódca artylerii major Scheiff, oficer wojsk pancernych Bayer, dowódca pociągu pancernego kapitan Römig, młody, niezwykle rzutki i ener-

giczny obersturmführer SS Hempel. Za nimi stało jeszcze kilku oficerów z Volkssturmu oraz z rozbitych na Wale Pomorskim dywizji *Schneidemühl*, *Märkisch Friedland* i *Bärwalde*. Na widok pułkownika powstali z miejsc. Ucichły prowadzone półgłosem rozmowy. Jego pełna godności i sprężystości wojskowej postawa budziła mimowolny szacunek i zaufanie, mimo że zmienne koleje wojny oduczyły już ich ufać ślepo każdemu nowemu dowódcy.

Pułkownik Fullriede spojrzał po obecnych. To dobrze, że nie ma nikogo z oddziałów SS *Leitland* i *Charlemagne* — pomyślał — przynajmniej będzie można otwarcie pomówić. Zauważył też nieobecność oberführera Bertlinga.

— Moi panowie! — zagaił pułkownik. — Przybyłem do Kołobrzegu jedynie w celu dokonania inspekcji prac obronnych, obecnie jednak wobec wytworzonej sytuacji otrzymałem rozkaz pozostania i objęcia dowództwa obrony. Stanowicie ścisłą grupę dowodzenia obrony niemieckiej twierdzy Kolberg. Na was, na waszej woli walki, na waszych umiejętnościach, na waszej energii i poczuciu honoru żołnierskiego oraz obowiązku wobec naszej ojczyzny, Rzeszy Niemieckiej, polega siła tej twierdzy. Jesteście bezpośrednimi realizatorami rozkazu führera. To wy i podlegli wam żołnierze musicie uczynić Kolberg twierdzą. Twierdzą śmierci. Niech zapanuje ona nad tym miastem i dosięgnie każdego napastnika. Myślę, że zostałem dobrze zrozumiany!

Kilkanaście par butów stuknęło służbiście.

— Proszę wybaczyć, że odprawa przyjmie za

chwilę nieco inny, niż normalnie to bywa, charakter, ale sytuacja wymaga, abyśmy razem obejrzeli wszystko to, czym dysponujemy.

Fullriede wstał, wrócił do swego gabinetu, po chwili wyszedł już w płaszczu.

— Panowie oficerowie, proszę za mną!

Zebrani ustawili się według starszeństwa i tak opuszczali salę. Tuż za pułkownikiem Fullriede szedł fregattenkapitän Kolbe, który z daleka wyróżniał się swoim granatowym marynarskim płaszczem i złotym kordem o białej inkrustowanej rękojeści.

*

Zaledwie przejechali pół kilometra, gdy gęstniejący z każdym metrem tłum uchodźców zatarasował im drogę. Na próżno kierowcy uruchomili całą gamę sygnałów. Nie pomagało. Wozy, wyładowane stertami betów, spod których wyglądały zalęknione twarze, nie miały gdzie się usunąć, a przejścia wypełniał tłum pieszych, obładowanych tobołkami i ciągnących niewielki dobytek na małych drabiniastych wózkach. Niektórzy używali do „celów transportowych" specjalnie przysposobionych rowerów. Fullriede poczuł, że wzbiera w nim wściekłość.

Adiutant widząc złą minę dowódcy podniósł się z siedzenia i oparłszy się o przednią szybę otwartego wozu począł wrzeszczeć ile sił. Ale nie robiło to na uciekinierach specjalnego wrażenia. Widać było, że nic już ich nie jest w stanie zainteresować prócz jednego — czy będą okręty do ewa-

kuacji. Nie pozostawało nic innego, jak wysiąść i udać się w dalszą drogę piechotą.

Fullriede skupił ruchem ręki wszystkich oficerów i rzekł cicho, ale wyraźnie, dobitnie, tak aby wszyscy mogli go słyszeć:

— Sądzę, że zdajecie sobie panowie sprawę, jak bardzo utrudni nam to wykonanie rozkazu führera o kontynuowaniu bezkompromisowego oporu. Dlatego też jestem zdania, że ten problem trzeba jakoś rozwiązać.

Obersturmführer Hempel, który znalazł się wśród najbliżej stojących nie omieszkał wtrącić:

— Panie pułkowniku, jeśli tego nie dokonamy, może to nam uniemożliwić walkę. Moi esesmani wykonają każdy rozkaz...

Torując sobie drogę wśród dążących ku portowi uchodźców i wymieniając raz po raz uwagi na temat sytuacji oficerowie dotarli w końcu do skraju własnych pozycji w rejonie Złotowa.

Zatrzymali się na jednej z wąskich uliczek przed podobną do innych niewielką standartową willą ze spadzistym dachem. Adiutant usłużnie otworzył drzwi i pułkownik Fullriede stanął oko w oko z wysokim chudym porucznikiem, miejscowym dowódcą odcinka, który zameldował się służbiście.

— Nie jestem w stanie zapobiec ciągłemu ruchowi ludności — meldował porucznik — uciekinierzy są przerażeni, nie chcą nikogo słuchać; wraz z nimi napływają żołnierze z rozbitych na Wale Pomorskim i w rejonie Świdwina jednostek. Jeżeli wolno mi wyrazić mój sąd, jestem zdania,

że takie „posiłki" mogą nam jedynie przysporzyć kłopotu.

— Interesuje mnie przede wszystkim nieprzyjaciel — przerwał płk Fullriede dość opryskliwie — czy były jakieś wiadomości od grupy *Kettau*?

— Meldowałem już o zetknięciu się jej z pierwszymi oddziałami pancernymi wroga — odparł porucznik — nowszych wiadomości dotychczas nie mam. Działający na moim odcinku oddział rozpoznawczy stwierdził, że nieprzyjaciel nieznacznymi siłami pancernymi opanował Rozcięcino.

Kiedy samochody z oficerami przebijając się przez kolumny uciekinierów dojechały wreszcie z powrotem do rejonu portu i oficerowie rozsiedli się w niewielkiej salce kinowej, pierwsze pytania skierowane były do Kolbego.

— Przed chwilą otrzymałem właśnie szyfrogram, który zawiera odpowiedzi na postawione przez nas pytania i prośby — meldował Kolbe. Po pierwsze, o działaniu nieprzyjaciela nie mają szczegółowych danych, ale przypuszczają, że ją nadmorska droga na Grzybów powinna być jeszcze wolna. Po drugie — relacjonował marynarz swym tubalnym głosem — nasza prośba o okręty została uwzględniona i na redę naszego portu przybyć mają wkrótce dwa niszczyciele.

Po trzecie, oprócz przybyłego wczoraj transportu amunicji, dzięki któremu w magazynach portowych posiadamy osiemdziesiąt pięć procent przewidzianej planem amunicji do artylerii ciężkiej, przeciwlotniczej, przeciwpancernej i broni piechoty, w najbliższych dniach mamy otrzymać następny transport amunicji wszystkich kalibrów w ilości około stu ton. To wszystko, co mam do zameldowania, panie pułkowniku.

— Czy może pan scharakteryzować bliżej te niszczyciele? — zapytał Fullriede.

— Oczywiście. Są to nowoczesne jednostki wybudowane już w czasie wojny. Wyporność 2000 ton każdy, uzbrojenie: pięć dział artylerii głównej kalibru 150 milimetrów, dwadzieścia dział przeciwlotniczych kalibru 37 i 20 milimetrów, dwie poczwórne wyrzutnie torpedowe kalibru 533 milimetry. Szybkość trzydzieści osiem węzłów — wyrecytował jak na egzaminie Kolbe.

— Tak, to bardzo dobrze — ożywił się Fullriede — panie majorze Scheiff, gdy tylko niszczyciele wejdą na redę osłaniając wejście do portu od strony morza, nawiąże pan z ich dowódcą ścisłe współdziałanie. Proszę ich artylerię włączyć do planu ognia artylerii ciężkiej, którą pan dysponuje. Ich działa powinny prowadzić ogień według danych, które pański sztab artyleryjski będzie im przesyłał drogą radiową. Jasne?

— Tak jest, panie pułkowniku — odparł major. — Chcę również zameldować, że oprócz wyrzutni pocisków 280-milimetrowych oraz haubic 105-milimetrowych i moździerzy włączyłem do planu ognia również działa przeciwlotnicze, działa pancerne i czołgi z grupy *Bayer* oraz działa pociągu pancernego kapitana Romiga.

— Czołgi i działa pancerne tylko te, które zostały na stałe wbudowane w barykady — wtrącił milczący dotąd Bayer — nie dotyczy to wozów bojowych na chodzie, a tych mamy coraz

więcej, gdyż kołobrzeskie warsztaty remontowe zdołały dokonać kilku napraw, a wozy z dywizji Holstein są na ogół w dobrym stanie.

Dalszy tok odprawy przerwało wejście młodego leutnanta, który zameldował się pospiesznie, po czym zbliżył się do pułkownika i relacjonował coś przyciszonym głosem.

Twarz Fullriede ściągnął grymas zdenerwowania.

— Proszę panów, w tej chwili otrzymałem dwie wiadomości. Bliżej nie rozpoznane oddziały pancerne nieprzyjaciela są już na przedpolach miasta; druga wiadomość dotyczy ludności cywilnej: zaczyna się wśród niej szerzyć ferment. Ludność nie chce ewakuować się drogą lądową, upiera się, że będzie w mieście oczekiwać na ewakuowanie drogą morską. Do ludności dotarła wiadomość, że czołgi nieprzyjaciela są pod miastem.

W związku z tym kończę odprawę i dziękuję panom. Proszę natychmiast udać się na swoje stanowiska dowodzenia i działać zgodnie z ustalonym planem. Pana — zwrócił się do nowo przybyłego — i pana, obersturmführer Hempel, proszę o pozostanie.

Gdy wszyscy opuścili salkę, pułkownik Fullriede zwrócił się do Hempla.

— Dosyć już tego maruderstwa, proszę natychmiast zorganizować patrole policji SS i żandarmerii. Wszystkich żołnierzy bez przydziału rozbrajać i skierowywać do grup roboczych przy rozbudowie umocnień. Zabraną im bronią dozbroi pan swój batalion, który pozostanie w odwodzie do mojej dyspozycji.

A pan, leutnancie, zamelduje oberführerowi Bertlingowi, aby zorganizował dwie kolumny ewakuacyjne, jedną do wysłania szosą na Grzybów, a drugą w kierunku na Złotów. Ludności proszę zakomunikować, że będą ją osłaniać czołgi grupy *Bayer*.

Gdy obaj oficerowie wyszli, pułkownik Fullriede opadł na krzesło, a twarz jego stężała w niemym wyrazie zadumy. Czy był w porządku wobec tych ludzi, którzy tu przybyli pod jego opiekę? To nie było teraz ważne — ważne było co innego — w swoim przekonaniu był w porządku jako żołnierz wykonujący rozkazy przełożonych.

*

Już od godziny pułkownik Fullriede siedział w portowym węźle łączności i oczekiwał na meldunki. Przez otwarte okno dolatywały odgłosy gwałtownej strzelaniny. Pułkownik łowił te pierwsze odgłosy walki i po raz już nie wiadomo który przemierzał niewielką przestrzeń między oknem a polową radiostacją, przy której czuwał podoficer łączności. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy aparacie i wsłuchiwał się w ciche gwizdy i warczenia. Podoficer starannie dostrajał aparat do długości fali radiostacji czołgowych — w eterze panowała jednak uparcie cisza. A przecież tam walczono, stamtąd dolatywały odgłosy strzelaniny. I znów pułkownik ruszał w stronę okna, jakby stąd miały nadejść wieści.

Nagle radiostacja ożyła. Dowódca oddziału pancernego, który eskortował kolumnę ewakuacyjną w kierunku Złotowa, meldował, że został zaatakowany przez przeważające siły pancerne z rejonu cegielni Karlsberg i Neu Werder. Dwa czołgi zniszczone. Kolumna ewakuacyjna rozpierzchła się, czołgi wycofują się na linię zewnętrznego pierścienia umocnień. Dowódca prosił o rozkazy.

Łącznościowiec spojrzał na pułkownika pytająco.

— Utrzymać zewnętrzny pierścień umocnień przy pomocy piechoty. Czołgi wycofać!

Tego jeszcze brakowało, tak zaraz na początku dwa czołgi zniszczone, czołgi, których jest tak niewiele.

W chwilę potem nadszedł drugi meldunek, tym razem od dowódcy oddziału czołgów, który eskortował uciekinierów po nadbrzeżnej szosie. Ten meldunek był równie niepomyślny. Czogista meldował, że nieprzyjacielski oddział pancerny uderzył na kolumnę, rozproszył ją, a czołgi toczą nierówny bój z przeważającymi siłami wroga.

I tym razem rozkaz był identyczny.

— Pozostawić kolumnę, wycofać się do miasta.

— A więc zaczęło się — mruknął pułkownik Fullriede i rozłożywszy na stole swą podręczną mapę przekreślił czerwonym ołówkiem ostatnią nie przeciętą dotychczas nadmorską szosę do Szczecina.

U BRZEGÓW BAŁTYKU

— Panie poruczniku! Panie poruczniku! — silne szamotanie za rękaw poskutkowało wreszcie i podporucznik Kalinowski otworzył oczy.

— Co takiego?

— Dowódca batalionu wzywa na odprawę!

— Aha, dobrze, zbudźcie gońca.

Ostrożnie, po omacku wciągnął na obolałe nogi swoje porządnie już wysłużone buty.

— Że też człowiekowi nawet odpocząć nie dadzą po takim marszu — mruczał bez przekonania, zazdroszcząc teraz w duchu żołnierzom swojej kompanii, którzy nie musieli włóczyć się po nocnych odprawach. Szmat drogi „połknęliśmy" przez te ostatnie trzy dni — zastanowił się przez chwilę nad mapą, zanim złożył ją starannie i schował do swej torby polowej. — Gdzie Wierzchowo, spod którego ruszyliśmy trzeciego marca, a dzisiaj już przecie szósty, a właściwie siódmy, bo zaraz rano i zaszliśmy prawie nad morze. Jeszcze kilkanaście kilometrów i Kołobrzeg — spojrzał na drugi kraniec mapy, gdzie w migotliwym świetle „kopciłki" widniała wielka niebieska plama Bałtyku.

— Pościg robi swoje — mruknął dopinając płaszcz, który ostatnio zrobił się jakiś dziwnie luźny.

Wyszli. Wioska spowita była w nieprzeniknionych ciemnościach. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku, z którego zaczęły się wyłaniać najpierw szczyty domów, potem jakieś widmowe

kształty drzew i krzaków, na koniec cicho drzemiące wśród zabudowań wozy taboru.

Dokoła panowała cisza, tylko odgłos kroków zdawał się potężnieć i dudnić złowrogo. W lekkiej poświacie księżyca po niebie sunęły na południe zwały ciężkich ołowianych chmur. Zrywał się przejmujący wiatr i zawodził wśród sterczących w niebo kikutów wypalonych domów.

Dowódca batalionu, porucznik Nowotarski, zatrzymał się w małym dworku pośrodku wsi. Weszli do izby. Było tam już kilku dowódców kompanii. Na stole leżał plik map, a dowódca siedział nad jedną z nich i niebieskim ołówkiem kreślił jakąś sytuację.

Kiedy zebrali się wszyscy i adiutant sennym głosem zameldował obecność, dowódca spojrzał po obecnych i rozpoczął odprawę.

— Zgodnie z rozkazem dowódcy szóstej dywizji piechoty, który przed chwilą otrzymałem, nacieramy na Kołobrzeg. Proszę wziąć mapy i zająć miejsca. Zapoznam was z zadaniami bojowymi...

*

Tak się zaczęło. A oto znów był ranek i znów byli w marszu. Pierwsze oznaki wiosny znikły bez śladu i zacinał gruby grad pomieszany ze śniegiem. Idący żołnierze wyglądali jak białe widma. Droga nikła sprzed oczu i trzeba było iść po omacku.

Maszerowali błotnistym gościńcem. Po obu stronach coraz częściej wyrastały małe podmiejskie domki, a w dali widać już było miasto.

Nie było jednak czasu na obserwacje. Niebawem ozwało się charakterystyczne skrzypienie, a w chwilę po nim na polu wykwitły w górę kłęby dymu. Sześć gwałtownych eksplozji wstrząsnęło powietrzem. To *nebelwerfer* — niemiecki sześciolufowy moździerz rakietowy, witał pierwszych Polaków u bram Kołobrzegu.

— Kompania w linię drużyn — padła komenda. Żołnierze rozsypali się szybko po obu stronach drogi, aby uniknąć skutków nękającego ognia nieprzyjaciela.

Nie uszli jeszcze kilometra, gdy ozwały się pierwsze karabiny maszynowe. Terkotały krótkimi urywanymi seriami, żołnierze przywarli do ziemi. Tylko schylone sylwetki telefonistów przebiegały tu i ówdzie rozsnuwając po polu pajęczynę kabli.

Chorąży Nałęcz-Komornicki, dowódca kompanii moździerzy, rozmieścił już swe „osiemdziesiątki-dwójki"* na stanowiskach, a sam wraz z porucznikiem Kalinowskim i podoficerem — obserwatorem, plutonowym Wielochem ruszył na strych najbliższego domu, aby zorientować się w położeniu.

Przez wyjętą dachówkę dobrze było widać miasto. Przed nimi na rozległej równinie rozciągał się Kołobrzeg spiczasty wieżami kościołów, łyskający czerwienią dachówek i zielenią miedzianych kopuł. Z lewej na piaszczystych wydmach bezlistny jeszcze park — to stanowiska 16 pułku piechoty. Na wprost gmatwanina torów

* Moździerze kalibru 82 mm.

wrzynająca się w przysiadle do ziemi obramowania magazynów — to stacja, a na prawo od niej potężne kompleksy budynków koszarowych.

W dali, gdzieś za murami kamienic, poprzeżynanych wąskimi kanałami ulic, widać było szare, potężne, majestatyczne w swym ogromie morze.

Wtem na strychu ozwały się dobrze znane bzykania, po czym nastąpiły suche trzaski i posypały się dachówki.

— Szybko nas wymacał! Ma drań dobre ślepia, bodaj go pokręciło... A ja tak chciałem jeszcze popatrzeć na morze — wyrzekał plutonowy Wieloch, gdy schodzili po schodach.

— Pokaże jeszcze, pokaże — zaśmiał się Kalinowski — prawda, Nałęcz? Już my mamy na niego wypróbowane warszawskie sposoby. Nauczyliśmy się czegoś podczas powstania, walka w mieście to nasza specjalność.

— Ach, gdybyśmy wtedy mieli takie moździerze — westchnął Nałęcz-Komornicki.

— Albo ja moje cekaemy — dorzucił Kalinowski i machnął ręką.

*

— Szybciej, chłopaki, szybciej. To już niedaleko, zaraz za tymi górkami powinno być widać — przynaglał swoich żołnierzy plutonowy Kazimierz Grzejek, sunąc wyciągniętym krokiem na czele niewielkiego, lecz doborowego oddziału.

Żołnierze sapali jak kowalskie miechy, ostatni biegli prawie kłusem nie mogąc nadążyć za swym dowódcą, którego smukła sylwetka uciekała im

ciągle sprzed oczu niknąc chwilami w gęstej porannej mgle.

Wyszli właśnie z zarośli niewielkiego zagajnika, gdy z pobliskich piaszczystych wydm zarechotał z nagła karabin maszynowy. Strzelcy bez słowa komendy rozsypali się w tyralierę. Z każdego ich ruchu poznać było od razu wytrawnych praktyków, takimi bowiem w istocie byli doświadczeni zwiadowcy 16 pułku piechoty.

Już strzelec Janota plunął ogniem ze swego cekaemu. Już drużyna kaprala Piwowarczyka ruszyła śmiało ze skrzydła, by obejść niemieckie stanowiska. Plutonowy Paczka, zastępca Grzejka nie wydawał nawet komend, tylko ręką wskazał kierunek natarcia. Rozumieli się bez słów.

Walka nie trwała długo. Niebawem rozległy się eksplozje granatów i nieprzyjacielska „maszynka" umilkła. Drużyna Piwowarczyka przyprowadziła z dumą trzynastu jeńców, a plutonowy Grzejek i plutonowy Paczka wyszli na piaszczystą wydmę, z której jak okiem sięgnąć rozpościerało się morze.

Wetknięta w dno załopotała nad falami polska flaga. Żołnierzy ogarnęło wzruszenie. Choć Bałtyk witał ich mgłą, śniegiem i deszczem, czuli gorąco w piersiach — tworzyli historię.

O godzinie jedenastej 16 pułk piechoty rozwinął się do natarcia. Po trzydziestominutowym przygotowaniu artyleryjskim ruszyła piechota. Po dwóch, po trzech wybiegali strzelcy z ukryć i sunęli naprzód, wspierając się wzajemnie ogniem. Na przestrzeni całego parku szła olbrzymia tyraliera żołnierzy 16 pułku. Cekaemy nie

zmieniły jeszcze stanowisk, tylko pluły krótkimi seriami do umocnionych schronów nieprzyjaciela.

Lecz oto piechota zaczęła „zalegać". Zaczęło się to na lewym skrzydle w rejonie gęstej grupy drzew. Nacierające tam plutony coraz bardziej pozostawały w tyle, aż w końcu zupełnie przestały się posuwać. Tyraliera zatrzymała się. Od strony gęstej grupy drzew i z rejonu drewniano-ziemnych umocnień raził morderczy ogień niemieckiej broni maszynowej. Przemówiły też ustawione gdzieś w głębi *nebelwerfery*. Sześć luf ciężkich moździerzy sprzężonych razem strzelało z piekielnym jazgotem. Ciężkie pociski padały na podmokły teren parku, gdzie przywarli do ziemi nasi żołnierze. Wysokie fontanny błota strzelały wysoko ponad gałęzie bezlistnych drzew, a świeże leje napełniały się momentalnie brudną, mętną wodą. Kompanie topniały w tym ogniu...

*

Pułkownik Ziarkowski znany był w całej dywizji jako człowiek niezwykle energiczny. Toteż gdy jego 18 pułk piechoty otrzymał rozkaz natarcia na Kołobrzeg wzdłuż szosy trzebiatowskiej, postawił sobie zaraz niezwykle śmiały cel zdobycia mostu na kanale i wdarcia się w głąb miasta.

„Grunt to zaskoczyć wroga" — mawiał zawsze pułkownik Ziarkowski, i rzeczywiście dotychczas metoda ta dawała dobre wyniki.

Natarcie, które osobiście poprowadził o świcie 8 marca, przyniosło od razu sukces. Bataliony jeszcze nocą podsunęły się skrycie brzegiem rze-

ki, gdy tylko się rozwidniło, walka rozszalała już w centrum miasta. Żołnierze bili się zapamiętale. Jeszcze świeżo w pamięci mieli bestialstwa popełnione na ich kolegach przez wroga pod Nadarzycami. Hitlerowcy wziąwszy do niewoli polskich żołnierzy oblali ich tam benzyną i żywcem spalili.

Zdecydowany atak przyniósł opanowanie kościółka z cmentarzem i czołowe grupy szturmowe znalazły się w bezpośrednim sąsiedztwie mostu.

Rozgorzała niezwykle zacięta walka. 18 pułk znalazł się w trudnym położeniu, ponieważ przed sobą miał umocnienia przyczółka mostowego, a na zapleczu silnie umocnione bloki, tzw. „białych koszar", które obszedł w nocy, a które teraz za dnia przemówiły, również odcinając ogniem pododdziały pułku od reszty dywizji. Pułk znalazł się więc jak gdyby w okrążeniu i wszelka łączność z tyłami została przerwana.

Nieprzyjaciel zorientował się szybko, że w jego obronie został dokonany poważny wyłom, i otworzył do ugrupowania 18 pułku silny ogień z rejonu koszar, wskutek czego front pułku musiał się zwrócić w kierunku zachodnim. Manewr ten wykorzystał natychmiast nieprzyjaciel i uderzeniem od strony mostu i rzeźni miejskiej zmusił najdalej na północ wysuniętą grupę szturmową 18 pułku do cofnięcia się. Niemcom udało się odzyskać kościółek i cmentarz przy szosie. Pułkownik Ziarkowski nie zrezygnował jednak ze swych ambitnych planów. Po dokonaniu koniecznych przegrupowań i rozpoznaniu sił wroga, które

kontratakowały od strony mostu, postanowił zadać decydujące uderzenie w kierunku na most, zdobyć rzeźnię miejską i położony koło niej Bastion Cleve i umocnić się na brzegu rzeki. Kolejny atak przeprowadzony w dniu 9 marca doprowadził do odzyskania kościółka z cmentarzem i do opanowania domów przy moście. Sytuacja była jednak w dalszym ciągu bardzo trudna, ponieważ pułk znajdował się pod ogniem i musiał bezustannie odpierać skierowane na swoje tyły kontrataki wroga od strony koszar i dzielnicy położonej między koszarami a drugim mostem kołowym na Kanale Drzewnym.

*

W sztabie 6 dywizji panował niezwykły ruch. Co chwila wbiegali i wybiegali gońcy z meldunkami. Co chwila dźwięczał polowy telefon i piskliwym głosem odzywała się radiostacja: „ti ti ti taa, ti ti taa", a potem następowały długie monologi fonii: „Zasłona, Zasłona, ja Hanka, ja Hanka, odpowiadaj, jak słyszysz, odpowiadaj, jak słyszysz!"

Dowódca węzła łączności dwoił się i troił w całym tym pozornym zamieszaniu, wszędzie go było pełno. Tu nadawał jakiś radiogram, po chwili już słyszało się jego gderliwy głos, gdy denerwował się przy telefonie nie mogąc uzyskać połączenia z pułkownikiem Ziarkowskim.

Szef wydziału operacyjnego wrysował na mapę ostatnie położenie oddziałów.

— Macie aktualną sytuację? — zapytał szef sztabu podpułkownik Sielecki pochylając mu się przez ramię nad mapą.

— Radzieckie oddziały pancerne w całym pasie dywizji zluzowane — meldował operacyjny. — Natarcie szesnastego pułku załamało się w parku. Jego grupa rozpoznawcza dotarła do morza na zachód od miasta, czternasty pułk skoncentrowany w rejonie Zieleniewa.

— Co z osiemnastym? — zapytał podpułkownik Sielecki.

— Walczy w rejonie mostu, brak dokładniejszych danych.

Szef sztabu dywizji strzepnął niecierpliwie ręką.

— Cóż to znaczy brak danych? Macie przecież łączność!

— Właśnie, obywatelu pułkowniku — telefoniczna przerwana.

— No, a radiowa?

— Ostatni meldunek mieliśmy sprzed dwóch godzin — są w okrążeniu, prosili o wsparcie artylerii i lotnictwa.

Szef sztabu zniknął za drzwiami pokoju dowódcy dywizji, pułkownika Szejpaka, po chwili wypadł stamtąd z nowymi rozkazami.

— Dowódca rozkazał zażądać wsparcia lotniczego oraz uderzyć natychmiast 14 pułkiem, aby pomóc okrążonemu 18 pułkowi i opanować „białe koszary". Wprowadzeniem do walki 14 pułku pokieruję osobiście, przygotujcie zaraz samochód, pojadę tam z majorem Wachtlem* — powiedział

* Major Jakub Wachtel był zastępcą dowódcy dywizji.

szef sztabu i spokojnym ruchem zaczął nakładać swój skórzany płaszcz.

Na pierwszy rzut oka wydawał się opanowany, a jednak gdy usiłował umieścić papierosa w swej srebrnej cygarniczce, pochylony nad radiostacją telegrafista kątem oka zauważył wyraźnie, że ręka mu drżała.

„Czyżby było aż tak źle z tym 18 pułkiem?" — pomyślał telegrafista, ale nie miał czasu dłużej nad tym medytować, gdyż z jego radiostacji popłynęły właśnie równe przenikliwe dźwięki i ręce kaprala odruchowo zaczęły zwijać wysuwającą się z odbiornika taśmę z kropkami i kreskami szyfrogramu.

„Z rozwidlenia dróg idących na Trzebiatów i Gościno widać było Kołobrzeg — pisał potem w swych wspomnieniach major Wachtel. — We mgle słabo rysowały się wieże kościelne i kilka pochylonych słupów brunatnego dymu. Nasz mały terenowy samochód mknie pełnym gazem w stronę Zieleniewa. Pola obok drogi pokryte lejami. Ulica pusta. Na jezdni rozbity sprzęt. Szum motoru przygłuszył odgłos wybuchu. Ale czarna fontanna, która wyskoczyła znad drogi, świadczy niezbicie, że wieś jest pod ostrzałem.

W dowództwie pułku dość ludno.

— Strzela z okrętów — mówi szef sztabu 14 pułku.

— Dawno? — pyta podpułkownik Sielecki.

— Pół godziny.

— Meldowaliście?

— Tak jest.

Pociski padały na wieś co kilka minut. Przybiegali gońcy z meldunkami...

W pobliżu padł pocisk. Dzwoniąc wypadła szyba. Telefonistka siedząca pod oknem, ze słuchawkami nałożonymi na uszy, odruchowo drgnęła, lecz w tej samej chwili opanowała się z pełnym wdzięku uśmiechem i dalej przyglądała się nam z nieokreślonym wyrazem twarzy.

Major lotnictwa, który w tej chwili przybył samochodem z silną radiostacją, wszedł do izby, strzepnął mokry śnieg z płaszcza.

— Zaraz wywołam samoloty — powiedział siadając. — Więc wołajcie od razu — oburzył się ktoś.

— Muszę zaczekać, przecież pada śnieg. Będą nad morzem w ciągu pół godziny.

Kiedyśmy wyruszali ze wsi Zieleniewo, z której potem kierowano całą operacją kołobrzeską, zdążyłem w lornecie nożycowej zobaczyć błyszczący skrawek morza z wysokim horyzontem, z bielejącymi pod nim plamkami okrętów.

Gorzelnia pod samym miastem, do której przybyliśmy, była właśnie od kilku minut pod ostrzałem z morza.

Wkrótce zaszumiały idące na północ samoloty. Niskie chmury utrudniały im pracę. Ale w tym samym czasie na brzegu morza zjawiły się pierwsze ciężkie działa 5 brygady i witały niemiecką marynarkę swymi 150-milimetrowymi pociskami. Niebawem ruszył też do walki 14 pułk piechoty".

Tymczasem dowódca obrony Kołobrzegu zdając sobie sprawę, że utrzymanie przez nasze jed-

nostki mostu stanowi poważne zagrożenie dla całego systemu obrony, postanowił za wszelką cenę przywrócić w tym rejonie pierwotną sytuację. Około południa 9 marca na zajęty przez 18 pułk teren otworzyła więc ogień cała artyleria nieprzyjaciela, a następnie z podstawy wyjściowej na Wyspie Solnej wyszedł silny kontratak hitlerowców w sile około dwóch batalionów wspartych czołgami. Trzon jego stanowiła najsilniejsza jednostka, jaką dysponowała załoga Kołobrzegu — batalion SS pod dowództwem obersturmführera Hempla. W rejonie mostu i kościółka z cmentarzem doszło do dramatycznych walk, w których wyniku po długotrwałym bohaterskim oporze pododdziały 18 pułku piechoty walczące przy odsłoniętych obu skrzydłach musiały ulec przeważającym siłom nieprzyjaciela i wycofać się do Więcemina.

TRAUGUTTOWCY NACIERAJĄ

Kapitan Szulczyński zaklął szpetnie. Kiedy drugi batalion 7 pułku piechoty, którego był dowódcą, podszedł do brzegu Parsęty, okazało się, że na rzece nie ma mostu.

Rozkaz dowódcy pułku majora Rusjana był wyraźny: „Nacierać na Kołobrzeg wzdłuż prawego brzegu". A tu teren nieznany, ciemno choć oko wykol, na lewo, mimo że to noc, grzmi z morza kanonada, pali się tam coś i strzelają różnobarwne rakiety. Nawet dobrze nie wiadomo, jaka ta

rzeka głęboka. Cóż jednak robić, droga jest każda minuta. Przed świtem trzeba zająć podstawę wyjściową do natarcia.

Kapitan Szulczyński rozkazał, aby batalion przeprawił się na środkach podręcznych pozostawiając na razie tabor i ciężki sprzęt na zachodnim brzegu rzeki. Sam przeprawił się z pierwszymi pododdziałami i postanowił osobiście nawiązać łączność z sąsiadem.

Szedł teraz po omacku potykając się co chwila o jakieś pogięte żelastwo, wyrwane płyty chodników i nadpalone belki. Wiedział, że gdzieś tu na wschodnim brzegu Parsęty musi być stanowisko dowodzenia pułkownika Mieszkowa, dowódcy radzieckiej dywizji. Szedł ostrożnie — nie był bowiem zupełnie pewien, czy gdzieś nie natknie się na nieprzyjaciela. Gdy okrążał jakiś zalany wodą rów, tuż nieomal nad głową usłyszał nagle przytłumiony okrzyk: — *Stoj, kto idiot?* — i suchy trzask repetowanego karabinu.

No nareszcie!

Po chwili rozmawiał już z bohaterem Związku Radzieckiego pułkownikiem Mieszkowem. Radziecki dowódca oceniał sytuację bardzo trzeźwo.

— Sądzę — powiedział — że obrona miasta jest silna i zawczasu przygotowana. Wczoraj na skutek silnego kontrataku moja dywizja musiała się wycofać ze skraju miasta tu, na te stanowiska. Najgorsze jest to, że moimi siłami nie będę mógł chyba wiele zrobić. Miasta od razu nie weźmiemy i czekają nas ciężkie walki. Dywizja dawno już nie była uzupełniana. Stale w pości-

gu, bój za bojem, a ludzie przecież nie z kamienia...

— Zorganizujemy wspólne natarcie — zaproponował Szulczyński.

— Chętnie. My nacieramy jutro o 11. Dołączcie do nas, bardzo proszę. Ale żołnierzy przygotujcie na najgorsze. Tu Niemcy będą się bronić do upadłego. To przecież miasto, którego nie mógł zdobyć Napoleon.

Kapitan Szulczyński wrócił po rozmowie do swego batalionu.

Z przeciwległego brzegu zaczęły tymczasem podchodzić przeprawiające się kompanie 1 batalionu i gdy rozpoczęło się natarcie, uczestniczyły w nim już prawie dwa bataliony 7 pułku.

Natarcie ruszyło wzdłuż drogi Niekanin — Kołobrzeg, przy której leżała znajdująca się w rękach wroga cegielnia zamieniona przez niego w silny punkt oporu. Bataliony 7 pułku, wspierane przez artylerię i moździerze z lewego brzegu Parsęty, ściśle współdziałając z piechotą radziecką, wdarły się do cegielni, zdobyły ją i osiągnęły dziesięciometrowy, napełniony wodą kanał na skraju miasta. Brzegi tego kanału były błotniste, co w połączeniu z silnym ogniem flankującym z położonego wyżej miasta uniemożliwiło dalsze natarcie. Wobec takiego stanu rzeczy bataliony 7 pułku piechoty umocniły się na zdobytej pozycji, przygotowując się do dalszych działań.

W nocy z 9 na 10 marca saperzy, pracując bezustannie pod ogniem nieprzyjaciela i w terenie stale przez niego oświetlanym, zbudowali na kanale kilka mostków szturmowych, przez które jeszcze przed świtem przeprawił się jeden pluton 2 batalionu 7 pułku w celu opanowania przyczółka.

Przed świtem 10 marca po dziesięciominutowej nawale ogniowej artylerii 7 pułk piechoty ruszył do ataku. Przy wsparciu ognia moździerzy i artylerii brawurowym uderzeniem sforsował fosę i jego czołowe oddziały wdarły się w zabudowania przedmieścia lęborskiego.

W półmroku zarysowują się grupy budynków i wysoka wieża kościoła. W górę wylatuje oświetlająca rakieta. W stronę nacierającej tyraliery sypią się serie świetlnych pocisków. Z domów przedmieścia, zamienionych przez nieprzyjaciela w punkty oporu, biją ciężkie karabiny maszynowe. Gdzieś spośród dalszych zabudowań odzywają się moździerze. Dudnią prowizoryczne kładki szturmowe pod stopami biegnących strzelców.

Nie opadł jeszcze dym i kurz nad stanowiskami hitlerowców, gdy z potężnym „hura!" zerwali się do ataku strzelcy. Już są na drugim brzegu kanału. Terkocą karabiny maszynowe. Padają raz po raz granaty z moździerzy. Trzaskają sucho rusznice przeciwpancerne. Strzelcy niepowstrzymanie idą naprzód i dopadają pierwszych domów.

Nieprzyjaciel broni się z zaciętością i uporem, lecz zaciętość ta nie dorównuje męstwu i odwadze atakujących oddziałów.

W 5 kompanii podporucznika Kopaczela idą w ruch granaty i pepesze. Wygrywa w tej walce odważniejszy, śmielszy i bardziej zdecydowany.

Razem z tyralierą piechoty idą artylerzyści.

„Czterdziestka piątka"*, niesiona dosłownie na rękach swej obsługi, posuwa się wszędzie za piechotą: przez ulice, przez rowy, przez leje od pocisków, dostaje się nawet niekiedy na piętra budynków. Wróg jest zaskoczony i przerażony, gdy z odległości kilkudziesięciu metrów rozlegają się strzały z działka i rwą się celne pociski.

Pluton „czterdziestki piątki" drugiego batalionu działa niezawodnie. Z przeciwnej strony ulicy jazgocą dwa MG**. Nagle rozlega się huk wystrzału i trafiony pierwszym pociskiem nieprzyjacielski karabin maszynowy milknie. Dwa dalsze strzały rozbijają drugi. Droga dla nacierającej piechoty jest wolna.

— My gadamy krótko, ale zdecydowanie — mówi śmiejąc się artylerzysta 7 pułku sierżant Szymczak.

•

Po ciężkiej walce udało się pierwszemu batalionowi zdobyć część małego cmentarza, a drugi batalion kapitana Szulczyńskiego prowadził w tym czasie równie ciężki bój o kościół i ruiny domów na skraju miasta. Szczególnie zajadłe walki toczyły się o zdobycie kościoła. W jego wnętrzu bronił się oddział nieprzyjaciela, który świadom ważności bronionej pozycji odgryzał się z cekaemów.

Grupa szturmowa podporucznika Lenkowicza przemyka pod ścianami domów. Od kościoła

---

* Działo kalibru 45 mm.

** *MG* — skrót od *Maschinengewehr* — niemiecki karabin maszynowy.

grzmi nowa seria. Jeszcze tylko parę kroków do wejścia.

Skok — granaty w środek!

Przez otwartą wyrwę bramy widać ciemne wnętrze nawy kościelnej, którą wypełnia kurz i dym.

Szturmowcy są już w środku. Eksplozja wiązki granatów dudni głucho, odbijając się tysięcznym echem od sklepień kościoła — a potem serie z automatów...

Hura! — Cekaem zdobyty!

Z góry sypie się tynk i lecą cegły. To „siedemdziesiątka szóstka"* uciszyła hitlerowskiego strzelca wyborowego zwalając go wraz z wieżą, na której siedział.

Po chwili nad kościołem powiewa biało-czerwona chorągiew.

Kościół jest w naszych rękach!

Ale teraz utrzymać go!

Nieprzyjaciel rozpoczął huraganowy ogień z moździerzy i dział zgromadzonych w rejonie portu. Wyje przeciągle niemiecki sześciolufowy „skrzypacz". Z morza huczą ciężkie działa okrętów wojennych. Wróg prowadzi ogień broni maszynowej wzdłuż sąsiednich ulic i uniemożliwia dalszym pododdziałom 7 pułku podejście do opanowanego kościoła.

Od strony kamienic znów dudni ostra seria, krótka, urwana, jakby nie dokończona. Ani marzyć o przebiciu się; mały pododdział jest odcięty w kościele i wystawiony na kontrataki wroga.

---

* Działo kalibru 76 m.

Tymczasem most na rzece już prawie gotów, przeprawiają się przezeń pododdziały 9 pułku. Chybocza się i skrzypią słabo jeszcze umocowane przęsła pod kołami ciężkich „siedemdziesiątek-szóstek" chorążego Stangórskiego.

Dochodzą już do szczytu wzgórza, ciemny wąż kolumny marszowej rozstrzępia się na mniejsze kolumienki — kompanie, plutony, drużyny; rozłamuje się, sprawnie zachodzą w lewo i przeciwległym stokiem wzgórza spływa już ku miastu rój wielkiej tyraliery. Wybuchają wśród niej pociski, bury, tłusty dym snuje się ciężkimi zwałami nad ziemią. Na szosie jak wymiótł — walą w nią najcięższe niemieckie działa. 9 kompania chorążego Półtoraka długim wężem wyciąga się za nasypem szosy. Nie sposób dojść do pierwszych domów. Zapada szybko mrok, ale niepewna to osłona. Wstrzelani za dnia Niemcy biją po szosie na oślep.

Mimo wszystko trzeba przecież spieszyć z pomocą 7 pułkowi, który tam trzyma się w kościele i na niewielkim cmentarzyku. Są odcięci ogniem.

— Zupełnie jak na przyczółku — mówił podporucznik Załuski. — Przez tę przestrzeliwaną ze wszystkich stron bagnistą dolinkę przedostać się do miasta jest prawie tak trudno, jak przez Wisłę, gdyśmy w Warszawie bronili przyczółka czerniakowskiego...

W każdym razie należy wykorzystać noc, aby pokonać tę „szosę śmierci", na której z podwójnego szpaleru drzew ocalało już tylko parę.

Dowódca 2 batalionu 9 pułku kapitan Olechnowicz decyduje podciągnąć batalion do miasta.

Przepełzają, biegną, znów przypadają do ziemi i wreszcie — barykada, obok niej moździerze, pod domem działo pancerne. Kapitan Szulczyński i kapitan Kościcki z 7 pułku już naradzają się z Olechnowiczem — montują nowe uderzenie na „mały cmentarz".

Tymczasem Niemcy bynajmniej nie rezygnują z utraconej pozycji.

Mijają minuty, godziny znaczone ostrą obustronną palbą. Niemcy chcą odzyskać kościół za wszelką cenę. Ogień cekaemów krzyżuje się na małym placyku. Noc jest jasna od otaczających kościół pożarów. Strzelanina ciągle wzrasta. To już nie pojedyncze, dłuższe salwy, ale po prostu lawina waląca się ze wszystkich stron na kościół.

Nieprzyjaciel przygotowuje kontratak.

W jaskrawym świetle łuny zza rogu ulicy wysuwają się czarne bryły czołgów i z głuchym warkotem suną naprzód.

Meldunek od bramy — idą dwa czołgi, za nimi piechota!

Przy wielkim łuku bramy leży nasza obsługa rusznicy przeciwpancernej. Celowniczy Pawełko ma twarz zaciętą, jakby skamieniałą w chwili natężenia boju. Warkot czołgów na przedpolu wzmaga się. Są już blisko.

Huk wystrzału. Jeden, drugi, trzeci...

Dwa trafne!

Przy framudze bramy strzelcy z automatami. Idzie seria za serią. Pałają oczy rozgrzanych walką strzelców. Wysoka nawa rozbrzmiewa głębokim echem od huku wystrzałów.

Kontratak odparty.

Po rozszerzeniu rejonu posiadania w okolicy kościoła przed pododdziałami 9 pułku stanęło trudne zadanie zlikwidowania oporu wroga w silnie umocnionych zabudowaniach gazowni.

Nieprzyjaciel bronił się tu z niezwykłą zaciekłością. Grzmią pojedyncze salwy. Sypie się tynk ze ścian. Co chwila wybuchają granaty. Grupa szturmowa 9 pułku pod dowództwem podporucznika Szymanowskiego dopada zabarykadowanej bramy silnie bronionego bloku. Kostki trotylu robią swoje. Brama wylatuje z hukiem. Już toczy się walka wewnątrz. Krok za krokiem, metr za metrem prą naprzód szturmowcy. Z góry leje się na nich ukrop, na głowy atakujących lecą zrzucane stoły i krzesła.

Na skraju zabudowań fabrycznych stoi oddalony od innych szary, murowany budynek. Z wybitych w ścianach strzelnic siecze bez przerwy grad kul. To kluczowa pozycja, którą trzeba zdobyć lub zmusić do milczenia. I znów niełatwe zadanie bierze na siebie grupa szturmowa podporucznika Szymanowskiego.

Wykorzystując załamania muru i kupy rozbitej cegły, na przekór bzykającym tuż koło nich kulom, strzelcy zbliżają się do umocnionego domu.

Są już od niego zaledwie o pięćdziesiąt metrów, gdy zostają zauważeni przez wroga. Wali się na nich huraganowy ogień cekaemów i moździerzy. Lecz polski piechur nie cofa się. Grupa szturmowa przypada w gruzach i z odległości

pięćdziesięciu metrów rozpoczyna gwałtowną walkę ogniową z nieprzyjacielem.

Sześć długich godzin trwa bój. Żołnierze grupy szturmowej rozbijają trzy niemieckie kaemy i kładą trupem 13 hitlerowców. Mimo to walka jest nierówna. Szturmowcy przywarli za prowizorycznym ukryciem, a wroga osłania silnie umocniony budynek.

Lecz nagle z południa nadlatują cztery szturmowce Ił-2, z biało-czerwonymi szachownicami na skrzydłach. To samoloty czwartej dywizji lotniczej wspierają natarcie. Ich pomoc daje wyniki każdego dnia.

Nabierają szybkości. Już są nad miastem.

Gorączkowo, pośpiesznie rozpoczynają ogień niemieckie zenitówki. Jest ich tu bardzo dużo. Jeden obok drugiego wykwitają w powietrzu szare dymki.

Samoloty nurkują. Warkot silników zlewa się z piekielnym świstem spadających bomb, hukiem eksplozji i strzałami działek pokładowych w jedną straszliwą melodię.

Milkną na chwilę zenitówki. W miejscu gdzie dopiero co był szary dom, wznosi się teraz wysoka kopuła dymu i kurzu.

Podporucznik Szymanowski podnosi w górę rękę z rakietnicą. Śmiga w niebo czerwona wstęga i rozpryskuje się gwieździście wśród dymów.

— Hura! — podnosi się okrzyk ruszającej do szturmu tyraliery. Pierwsze budynki gazowni niebawem zdobyte, a samoloty zawracają głębokim wirażem i lśniąc w wiosennym słońcu powracają na swoje lotnisko.

13 marca o świcie pododdziały 9 pułku piechoty ruszyły do decydującego szturmu na gazownię.

Grupy szturmowe poszły naprzód. Jednakże silny ogień nieprzyjacielskiej broni maszynowej utrudniał sprawne posuwanie się piechurów. Mimo to grupie szturmowej sierżanta Kurka udało się podejść pod same mury, za którymi bronili się Niemcy. Rzucone do wnętrza wiązki granatów utorowały drogę innym grupom.

Budynki z zabarykadowanymi oknami i z powybijanymi w ścianach strzelnicami były dogodnymi punktami obrony dla nieprzyjaciela. Wróg chcąc zwiększyć siłę oporu bronionego rejonu porozmieszczał prawie we wszystkich zabudowaniach gniazda broni maszynowej. Na wyniosłych punktach porozsiadali się nieprzyjacielscy strzelcy wyborowi mając świetne pole do ostrzału.

Jednakże w ślad za grupami szturmowymi do zabudowań wdarli się fizylierzy. Gęsty ogień z automatów częściowo obezwładnił załogi broniące budynków. W ten sposób jeden z bloków został zdobyty.

Niemcy walcząc zajadle bronili kluczowej pozycji, jaką stanowiło wielkie, murowane zabudowanie.

Pod osłoną ognia moździerzy ruszyła do walki o ten budynek grupa szturmowa chorążego Zawadzkiego. Mimo silnego ognia grupie udało się dotrzeć do bloku na odległość rzutu granatem. Wskutek eksplozji granatów ogień nieprzyjaciela ustał. W mgnieniu oka grupa szturmowa wdarła się do wielkiej hali fabrycznej. Rozgorzała walka

wręcz. Poszły w ruch bagnety i kolby automatów. Obrońcy, którzy nie spodziewali się tak gwałtownego szturmu, schronili się za wielkimi turbinami stojącymi w hali i obrzucili nacierających granatami ręcznymi. Ale już i nasze wiązki granatów eksplodują za turbinami. Część hitlerowców padła, reszta wyszła zza turbin z rękami podniesionymi do góry.

Nagle z sąsiedniego bloku wychodzi silny kontratak nieprzyjaciela. Ale w bloku zdobytym przed chwilą już zorganizowano dość silną obronę. Karabiny maszynowe sieką bez przerwy z okien. Nieprzyjaciel rzuca się do ucieczki, zostawiając zabitych i rannych. Rejteradę osłania ukryty w ruinach *MG*.

Działo ustawione do strzelania na wprost otwiera ogień. Słychać głośne „hura!" To piechota korzystając z przerwania ognia przez nieprzyjacielski karabin maszynowy zajmuje dalsze pozycje.

W tym momencie przychodzi wiadomość, że w domu odległym o sto metrów znajduje się sztab batalionu niemieckiego. Pada komenda:

— Obsługa do działa!

Pięć pocisków, i dom rozsypuje się w gruzy. Hitlerowcy są na tym odcinku całkowicie zdezorientowani. Ogień ich słabnie. Korzysta z tego piechota i opanowuje coraz to nowe obiekty.

Teraz nastąpiła ostatnia faza walki. Strzelcy chorążego Zawadzkiego wespół z innymi grupami szturmowymi 9 pułku oczyścili kolejno wszystkie zabudowania. Gazownia została zdobyta.

KIERUNEK „SIEDERLAND SCHANZE"

Kiedy dowódca 14 pułku piechoty, major Domaredzki, przybył do Więcemina, od razu ocenił sytuację jako groźną. 18 pułk pułkownika Ziarkowskiego cofał się pod naporem kontratakującego wroga. Na szosie trzebiatowskiej co chwila tworzyły się zatory. Kompanie 14 pułku wychodziły na pierwszą linię bojową pod nieustannym ogniem nieprzyjaciela z dział okrętowych. Ten nękający ogień nie tyle wyrządzał szkody, ile był po prostu przykry i wpływał deprymująco na niektórych nie ostrzelanych jeszcze żołnierzy. Tylko stare wiarusy nic sobie z niego nie robiły. Rozmowa z pułkownikiem Ziarkowskim była krótka i lakoniczna. Trudno było jednak brać za złe małomówność człowiekowi, który w ciągu jednego dnia utracił wszystkich swych dowódców batalionów i wielu bojowych żołnierzy.

Major Domaredzki od pierwszej chwili rozpoczął realizację swego planu. Na podstawie tragicznych doświadczeń pułkownika Ziarkowskiego doszedł do wniosku, że atakowanie rejonu mostu bez uprzedniego zdobycia koszar nie ma szans powodzenia i może jedynie przysporzyć strat. Dlatego też postanowił przede wszystkim zdobyć koszary przy pomocy dwustronnego natarcia. Zgodnie z tą decyzją w godzinach rannych 9 marca bataliony 1 i 3 zluzowały ostatnie pododdziały 18 pułku w rejonie rozwidlenia szosy trzebiatowskiej i przesunęły się z Zieleniewa do Więcemina, by zaatakować koszary od wschodu. 2 batalion zaś pod dowództwem porucznika Nowotarskiego

pomaszerował w kierunku zachodnim i rozwinął się do natarcia wzdłuż szosy Korzystno — Kołobrzeg osiągając przedmieście złotowskie, gdzie napotkał zdecydowany opór nieprzyjaciela. W tej sytuacji zdobycie umocnionego kompleksu koszar w drodze doraźnie zorganizowanego natarcia okazało się niemożliwe i musiało się przewlec aż do 11 marca, kiedy drugi batalion zdobył Złotowo.

*

Natężenie walk o Złotowo, początkowo tak silne, osłabło pod wieczór. Kompanie opanowały wszystkie budynki, jednak nieprzyjaciel nie został tu zniszczony. Wycofał się w stronę koszar i do leżącego przed koszarami starego fortu ziemnego. Natarcie na ten fort ruszyło dopiero o świcie następnego dnia. A oto jaki obraz pozostawiła ta walka we wspomnieniach dowódcy kompanii moździerzy, chor. Nałęcz-Komornickiego.

»Zaczynało szarzeć, gdy przemówiła nasza artyleria. Nawykłe ucho z łatwością odróżnić mogło metaliczne odgłosy siedemdziesiątekszóstek od dalekiego basu ciężkich dział. Z każdą chwilą strzelało ich więcej, aż zlały się w jeden ton porannego artyleryjskiego koncertu.

Powoli rozwidniało się.

Z punktu obserwacyjnego roztaczał się coraz rozleglejszy widok. Zamazane i szare sylwetki nabierały z wolna barw, niewyraźne kontury przedmiotów uplastyczniały się z każdą chwilą. Lustrowałem pilnie przedpole sprawdzając moje wczorajsze obserwacje i uzupełniałem szkic og-

niowy. Skorygowałem też obliczenia wykonane jeszcze w nocy na podstawie mapy i niebawem zacząłem wstrzeliwać się do grupy drzew na wzgórzu. Na mapie miejsce to opatrzone było napisem „Siederland Schanze". Dowódca batalionu mówił, że to pozostałości dawnych umocnień miasta jeszcze z czasów wojen napoleońskich. Wczorajsze natarcie dowiodło, że jest to główny punkt oporu na drodze do „białych koszar".

Cel został nakryty ogniem. Chor. Pyclik z iście matematyczną dokładnością prowadził ogień „metodyczny".

Z mojego punktu obserwacyjnego widać było koszary, z których raz po raz wykwitały pióropusze dymu. To strzelała nasza artyleria.

Niemcy na razie milczeli.

Nagle w słuchawce telefonu usłyszałem umówione hasło: „Iskra", „Iskra", „Iskra"...

W chwilę potem zobaczyłem, że nasi poszli do natarcia. Z gruzów rozbitej ulicy wyskakiwali pojedynczo, po dwóch, po trzech i pochyleni, ściskając w rękach karabiny i pistolety maszynowe, biegli do przodu. Najbliżej mnie szedł 1 pluton 6 kompanii.

Z krzaków ogrodu za torem ruszył do natarcia 2 pluton. Rozsypał się na łączce i równymi skokami parł naprzód. 3 pluton poderwał się nieco w tyle za tamtymi i kierował się prosto na grupę drzew, która jeszcze kurzyła się od wybuchów. Tyraliery plutonów posuwały się szybko.

Za nacierającymi rozwijały się cienkie niteczki kabli telefonicznych, rozsnuwane po polu przez „pająki" ppor. Piskozuba.

Po osiągnięciu folwarku piechota miała sygnalizować mi o tym umówionym hasłem „Wisła". Należało wtedy przenieść ogień dalej — na koszary. Opanowanie wzgórza z drzewami oznaczono hasłem „Odra", wezwanie zaś o pomoc hasłem „Lipa".

Ogień moich moździerzy i baterii 120 mm przenosił się po łączce do przodu, tworząc jak gdyby wał ogniowy. Za nim w odległości 150—200 m posuwały się tyraliery plutonów. Niektórzy strzelcy nie padali wcale; szli wyprostowani lub lekko tylko schyleni w obawie, by Niemcy nie zdążyli wyskoczyć ze schronów po przeniesieniu naszego ognia.

Na łąkę nie padł ani jeden pocisk niemiecki. Koszary spowite w kłębach kurzu ciągle jeszcze milczały. Piechurzy dochodzą już do folwarku.

— „Wisła", „Wisła"! — odzywa się głos dowódcy 1 plutonu.

— „Wisła", „Wisła"! — woła plut. Wieloch do baterii moździerzy 120 mm.

Za folwarkiem tyraliery idą prawie biegiem. Lewoskrzydłowy pluton dogania wybuchy jakiegoś spóźnionego działa. Lecz już ogień przeniesiony. Na prawym skrzydle 3 pluton przecina ukośnie szosę i widać, jak sylwetki strzelców nikną za drzewami, 2 pluton także osiągnął już drzewa...

Koło wzgórza rozpoczęła się walka z bliska.

Niemcy stanowiący obsadę tego punktu zostali nagle okrążeni. Granaty ręczne eksplodowały raz po raz znacząc swe wybuchy kłębami czarnego dymu.

Dowódca 1 plutonu opowiadał mi potem przebieg tej walki.

Biegł na czele swych ludzi. Tuż przed drzewami rozerwał się koło niego granat, nie czyniąc mu jednak szkody. Pluton skręcił nieco w lewo, gdzie wały schodziły się tworząc przerwę. Oficer z kilkoma strzelcami wbiegł w tę przerwę. Usłyszał za sobą wybuch granatu. To Niemcy zagrodzili już za nimi przejście. Strz. Jakubowski odwrócił się ostrzeliwując z pistoletu maszynowego stok wzgórza.

— Naprzód! — krzyczy porucznik, lecz wtem z przeciwnej strony ze schronu ukazuje się głowa Niemca i granat trzonkowy leci na nacierających. Oficer słyszy za sobą huk i jęk. Ktoś dostał. Kpr. Jarzębski rzuca dwa granaty w otwór schronu. Z drugiego schronu wybiega Niemiec i ucieka w stronę koszar. Porucznik posyła za nim granat. Wybiega drugi Niemiec — ten dostaje odłamkami. Trzeci składa się do porucznika z pistoletu maszynowego, ale już terkocze „pepeszka" kpr. Deca. Niemiec pada.

— Rzucać granaty do schronów! — woła oficer. Lecz właśnie z drugiej strony wału wybiega dwóch Niemców siejąc seriami z pistoletów maszynowych.

Strz. Marczak naciska spust niesionego na pasie erkaemu. Niemcy padają jak ścięci.

Z drugiej strony ukazują się rogatywki nadbiegających strzelców z 2 i 3 plutonu.

„Wzgórze z drzewami" zdobyte. Droga do koszar stoi otworem.

— „Odra", „Odra", „Odra"! — słychać w słuchawce telefonu. Dowódca 6 kompanii sygnalizuje wykonanie zadania.

Już widać, jak tyraliera 4 kompanii osiąga zdobyty przed chwilą rejon.

Tymczasem plutony 6 kompanii posuwają się dalej według ustalonego planu. !

Najwyższy już czas zmienić stanowiska.

— 1 pluton... Stanowiska: grupa drzew. Moździerze na juki!

— Chorąży Pyclik, stanowiska 2 i 3 plutonu zmienić na mój rozkaz. Tymczasem prowadzić ogień metodyczny do „białych koszar".

1 pluton rozwinął się w linię drużyn. Szliśmy szybkim krokiem. Koło mnie plut. Wieloch ze swym nieodłącznym „mauzerem", za nami strz. Czekajło z lornetą nożycową, jeszcze bardziej w tyle terkotała na plecach telefonisty Strupińskiego szpula rozwijającego się kabla.

Teren na łączce nie był tak dogodny do natarcia, jak to wyglądało z punktu obserwacyjnego. Ziemia była miejscami grząska i żołnierze niosący ciężki sprzęt zapadali się w rozmokłym gruncie. Do butów przylepiały się zwały błota, których nie można się było pozbyć. Mimo to szliśmy dalej szybko.

Niemcy jednak zorientowali się już w sytuacji. Gdzieś za nami upadł pocisk. Ziemia jęknęła głucho i huk wstrząsnął powietrzem. Znów świst i drugi pocisk upadł niedaleko, obsypując nas grudkami wilgotnej ziemi. Gdzieś za domami zgrzytnął złowrogo niemiecki „nebelwerfer"...

Cztery, pięć, sześć — liczyłem podświadomie w myśli wystrzały, a potem znów — cztery, pięć, sześć — wybuchy. Po łące poniosło ciepłym powiewem rozrywów.

Pociski padały coraz gęściej.

— Pluton biegiem!

Drużyny zerwały się pędem naprzód. Nogi grzęzły coraz bardziej w błocie, ciężkie płyty, lufy i skrzynki z amunicją uwierały zdrętwiałe ramiona. Drużynowi pomagali swym strzelcom. Słyszałem, jak dowódca 3 drużyny kpr. Palczyński dyszał za mną ciężko, dźwigając dwie skrzynki z amunicją.

Dochodziliśmy już do drzew. Między wałami można było zająć dogodne stanowiska.

— Drużyna pierwsza, druga, trzecia... Moździerze na stanowiska!

W jednym z opuszczonych przez Niemców schronów czeka już telefonista z 6 kompanii. Chwytam słuchawkę.

— „Spiekota", „Spiekota" — dajcie ogień tu, na bramę.

— Kapral Jurczak, wasz moździerz pierwszy. Po lufie. Celownik... Metodyczny co 5 sekund... Ognia!

Dzwonię do Pyclika: 2 pluton — pozostać na miejscu... 3 — nosić do nas amunicję.

Wśród drzew rwą się jednak coraz gwałtowniej niemieckie pociski.

Plut. Wieloch ustawił „bezczelnie" lornetę nożycową na samym wierzchołku wału.

— Huraa! — słychać z rejonu koszar.

6 kompania w ślad za plutonami piątej osiąga już koszary. Słychać gęstą strzelaninę karabinów maszynowych i automatów.

Tuż przy nas na otwartym polu chor. Fomin wysunął swe działo i chociaż dokoła rwą się granaty, prowadzi szybki ogień do zabarykadowanych okien ze strzelnicami.

Z gruzów spalonych domów strzela niemiecki cekaem.

Widzę, że działo zmienia kierunek. Zgarbieni za tarczą artylerzyści załadowują nerwowo. Szarpnięcie lufy do tyłu, strzał, znowu załadowują, strzał — cekaem milknie.

— Huraa! — dolatuje znów od koszar.

— Naprzód! — woła chor. Fomin. Obsługa dosłownie niesie działo pod same mury.

— „Spiekota", „Spiekota" — 100 metrów dalej! — woła głos w słuchawce.

Przenosimy ogień.

Przybiegają strzelcy 3 plutonu z amunicją. Zdyszani — dwóch z nich jest rannych.

— 2 pluton, zmiana stanowisk! — dzwonię do Pyclika.

Tymczasem 5 i 6 kompania już są pod murami koszar. Z zabarykadowanych okien wali się na nie gęsty ogień. Zá murem odzywa się warkot czołgów, ich działa z bliska zaczynają prażyć do naszych piechurów. Artylerzyści nie mogą wytrwać długo na otwartym polu. Nie na wiele przydaje się także ogień moich moździerzy. Granaty rozrywają się na murach i na koszarowym dziedzińcu, nie dosięgając ukrytego w głębi budyn-

ku wroga. Za to na naszych stanowiskach ogniowych robi się coraz „cieplej". Wśród drzew rwą się gęsto pociski, sięga do nas również ogień karabinów maszynowych z „czerwonych koszar". Żołnierze nerwowo, pośpiesznie wkopują stanowiska w ziemię, wykorzystując dopiero co zdobyte wały. Jest już kilku rannych. Mamy trudności z ich ewakuacją i z podciąganiem amunicji, droga jest bowiem pod silnym ogniem z „czerwonych koszar". Za wałami i w pobliżu naszych stanowisk chronią się grupki wycofujących się żołnierzy 5 i 6 kompanii. Plut. Świetlicki opędza się od nich w obawie, by ta „koncentracja" nie ściągnęła na nas jeszcze większego ognia wroga. Po chwili dociera do mnie ppor. Majewski. Twarz ma czarną od kurzu i dymu, mundur w kilku miejscach przestrzelony. Okazuje się jednak, że nie jest ranny. Postanawia zatrzymać swoją kompanię na wysokości stanowisk moździerzy. Żołnierze okopują się już na polu. Po chwili przychodzi rozkaz dowódcy batalionu, aby zaprzestać natarcia, okopać się i być gotowym do powtórnego natarcia na nowy rozkaz.

Nasza pierwsza próba zdobycia koszar nie powiodła się zatem. Podobnie nie odniosły sukcesu dwie następne próby, mimo że żołnierze docierali aż pod same mury koszar. Po południu dowódca batalionu zorganizował odprawę, na której ustalono, że będziemy zdobywać koszary natarciem nocnym. Jednakże i ta próba załamała się niebawem. Jasne było, że brak nam dostatecznej siły ognia artylerii strzelającej na wprost.«

Od strony południowo-zachodniej koszary były ogrodzone grubym kamiennym murem dwumetrowej wysokości, z licznymi otworami strzelniczymi. Wzdłuż wewnętrznej strony muru oraz na dziedzińcu koszarowym ciągnęły się rowy strzeleckie połączone z oknami piwnic w budynkach przy pomocy rowów łączących. Wszystkie bloki były silnie umocnione, drzwi zabarykadowane. Okna pozakładano wszelkiego rodzaju sprzętem i workami z piaskiem, urządzając w nich strzelnice i stanowiska broni maszynowej.

Aby opanować koszary, należało przede wszystkim otworzyć przejścia w murze, a następnie uderzyć jednocześnie z kilku stron. Sama jednak artyleria pułkowa nie mogła tego dokonać. Mimo trudności trzeba było więc koniecznie podciągnąć haubice.

W batalionach zorganizowano grupy szturmowe przydzielając im artylerię różnych kalibrów. Główne zadanie zdobycia „białych koszar" miały wykonać dwie takie grupy szturmowe, każda w sile kompanii: ze wschodu grupa szturmowa utworzona z żołnierzy 7 kompanii 3 batalionu pod dowództwem podporucznika Kochana i z południowego zachodu grupa szturmowa żołnierzy 6 kompanii 2 batalionu dowodzona przez podporucznika Majewskiego.

Osią natarcia grupy szturmowej zorganizowanej z żołnierzy 7 kompanii była ulica Artyleryjska. Pod osłoną nocy udało się podciągnąć jedną baterię 122 mm haubic z dywizjonu kapitana Du-

bownika przydzielonego dla wsparcia tej grupy. Haubice podciągnięto na odległość 100—150 m od koszar na otwarte stanowiska do strzelania na wprost. Oprócz tego podciągnięto działa 76 mm plutonowego Sokołowskiego na odległość 50 m od muru.

Podporucznik Kochan podprowadził strzelców grupy szturmowej na stanowiska w pobliżu muru w gotowości do rozpoczęcia szturmu.

O świcie 12 marca, gdy koszary spowite były jeszcze w ciemnościach, a mur zaczął się na ich tle odcinać jaśniejszym pasmem, na odcinku natarcia grupy szturmowej podporucznika Kochana jako pierwsza przemówiła bateria haubic. Jej szybki ogień z bliskiej odległości poczynił w murze koszarowym kilka wyłomów. Po kilku minutach działa przeniosły ogień na właściwe zabudowania koszar. Przeniesienie ognia było sygnałem do rozpoczęcia działań przez grupę szturmową podporucznika Kochana. Nieprzyjaciel został całkowicie zaskoczony i nim zdążył się zorientować, już 7 kompania była w jego rowach i nawiązała tam walkę wręcz torując sobie drogę do budynków.

Kilku strzelcom udało się już nawet dotrzeć pod ściany budynków, gdy z okien posypały się na nacierających serie z broni maszynowej i granaty. Przed chwilą zdobyte okopy i rowy łączące nie dawały prawie żadnej osłony przed prowadzonym z góry ogniem. Niewielka odległość, jaka pozostała jeszcze do budynków koszarowych, okazała się w tych warunkach prawie niemożliwa do przebycia. Wycofanie się zaś spod ognia i powrót na stanowiska wyjściowe po drugiej stronie muru był również niemożliwy, ponieważ wszystkie przejścia i wyłomy w murze znalazły się pod ostrzałem broni maszynowej. Pozostawało więc prowadzić dalej nierówną walkę i taką właśnie pełną determinacji decyzję powziął podporucznik Kochan. Ostrzeliwanie nieprzyjacielskich stanowisk ogniowych nie dawało prawie żadnych rezultatów, ponieważ okna budynków były silnie zabarykadowane. Za to ogień Niemców prowadzony z wyżej położonych stanowisk wyrządzał olbrzymie straty w ludziach. Stan kompanii zaczął gwałtownie topnieć. Nie było możności ewakuowania rannych. Sytuacja z każdą chwilą stawała się krytyczniejsza. Eksplozje rwących się ciągle dokoła granatów głuszyły wołania rannych i uniemożliwiały porozumienie się głosem z dowódcami plutonów. Nad przywartą do ziemi 7 kompanią rozpętało się istne piekło ognia i żelaza. Odłamki warczały nieustannie nad głowami, a budynki koszarowe zachłystywały się wprost długimi seriami z wszelkiego rodzaju broni maszynowej.

Podporucznik Kochan postanowił wezwać pomocy. Aparat telefoniczny ukryty we wnęce okopu znajdował się jakieś dwadzieścia metrów od niego. Przebycie tych dwudziestu metrów pod nieustannym ogniem wydawało się prawie niemożliwością. Mimo to dzielny oficer rozpoczął mozolną wędrówkę. Czołgał się wolniutko, pokonując metr za metrem, wykorzystując każdy załamek terenu, każdy lej po pocisku, każde usypisko gruzu. Napotykał po drodze rannych — ję-

czeli cicho, zdrowi... milczeli, tylko w ich oczach można było wyczytać jakiś ogrom wysiłku woli, który zdolny jest nawet uczucie strachu przekształcić w gotowość do czynu.

Już, już niedaleko, jeszcze trzy metry, jeszcze metr, już widać zagłębienie, w którym znajduje się zbawczy telefon. Kule bzykają jak osy i rozpryskują grudki wilgotnej ziemi.

W kałuży świeżej, nie zakrzepłej jeszcze krwi leży telefonista, w kurczowo zaciśniętym ręku trzyma słuchawkę. Podporucznik Kochan wyjmuje mu ją z zastygłej dłoni i przykłada do ucha.

— Kora, Kora, Kora...

W słuchawce głucho.

Wzrok dowódcy kompanii pada na skrzynkę aparatu — leży rozbita, przysypana ziemią, zbroczona krwią telefonisty, opodal sterczy zagięty w górę kawałek pociętego odłamkami kabla...

Telefonicznej łączności nie ma.

Lecz podporucznik Kochan nie rezygnuje. Skreśliwszy na kawałku papieru meldunek bojowy, wzywa do siebie najbliższego strzelca z rozkazem dostarczenia meldunku do dowódcy batalionu.

Tymczasem dowódca 3 batalionu nie mając przez dłuższy czas żadnych wiadomości od dowódcy 7 kompanii próbował kilkakrotnie nawiązać z nim łączność telefoniczną oraz wysłał dwóch gońców. Nie doczekał się jednak ich powrotu. Natarcie na koszary prowadzone równocześnie z południowego zachodu przez 2 batalion porucznika Nowotarskiego nie mogło na razie w niczym dopomóc grupie szturmowej 7 kompanii.

Major Domaredzki dowiedziawszy się o niejasnej sytuacji grupy szturmowej 7 kompanii w rejonie koszar, nie mogąc w niczym przyśpieszyć natarcia 2 batalionu rozkazał dowódcy 3 batalionu ściągnąć z mniej ważnego odcinka 8 kompanię i wysłać ją na pomoc 7 kompanii. O pomocy artylerii nie można było nawet myśleć. Baterię haubic, która prowadziła ogień na wprost, trzeba było wycofać, ponieważ pod silnym ogniem broni maszynowej i *panzerfaustów* obsługi poniosły znaczne straty. Ostrzeliwanie koszar ogniem artylerii wspierającej z zakrytych stanowisk było niebezpieczne ze względu na możliwość rażenia żołnierzy 7 kompanii odłamkami własnych pocisków.

Szeroka ulica Artyleryjska oddzielająca stanowiska batalionu od koszar ostrzeliwana była bez przerwy ogniem skrzydłowym. Dowódca 3 batalionu zameldował dowódcy pułku, że w dzień przy pełnej obserwacji nieprzyjaciela jest rzeczą niemożliwą dosłanie posiłków 7 kompanii

Zarówno 8 kompania, jak i inne pododdziały batalionu kilkakrotnie ponawiały próby przyjścia z pomocą odciętej grupie. Próby te jednak nie przyniosły żadnych sukcesów, powiększyły jedynie straty.

Dopiero o zmroku powróciło z 7 kompanii kilku rannych żołnierzy — świadków śmierci swych kolegów i dowódcy kompanii. Z opowiadania ich wynikało, że po wystrzelaniu całego zapasu amunicji podporucznik Kochan sam ranny zebrał

wokół siebie garstkę ocalałych żołnierzy i z granatami i bagnetami na broni ruszyli do ataku na umocniony blok koszarowy.

Mała tylko grupka dotarła do bloku i skryła się w drzwiach i wyłomach ściennych. Po wysadzeniu zabarykadowanych drzwi walka przeniosła się do wnętrza koszar, ale trwała już niedługo. Siły były nierówne.

*

Dowódca 2 batalionu, porucznik Nowotarski, czynił w tym czasie wszelkie możliwe wysiłki, aby jak najwcześniej przyjść z pomocą grupie szturmowej 7 kompanii, i jakkolwiek po zdobyciu umocnień *Siederland Schanze* zapadł już zmrok, nie zaprzestał walki i zorganizował natarcie nocne. Natarcie to nie przyniosło jednak rezultatu, ponieważ nieprzyjaciel otworzył silny krzyżowy ogień z broni maszynowej z „białych" i „czerwonych koszar", przy czym jego karabiny maszynowe strzelały z innych niż za dnia, niedostatecznie rozpoznanych stanowisk ogniowych.

W tej sytuacji dowódca pułku doszedł do wniosku, że na prawe skrzydło pułku należy ściągnąć 2 batalion, który dotychczas nie odniósł sukcesu w natarciu na koszary od południowego zachodu. Wysłał nawet do dowódcy tego batalionu swego zastępcę. Ten jednak powrócił niebawem meldując, że porucznik Nowotarski przygotował starannie powtórne natarcie nocne, w którym obiecuje koszary zdobyć. Zresztą o tych walkach opowie nam później sam dowódca 2 batalionu.

Na razie jednak musimy opuścić chwilowo 14 pułk piechoty, by zająć się innymi ważniejszymi wydarzeniami, które wywarły decydujący wpływ na przebieg walki o Kołobrzeg.

PRZYGOTOWUJE SIĘ PRZEŁOM

Mały, niepozorny *Willys* mknął po gładkiej nawierzchni asfaltowej szosy, która wiła się wśród niewysokich piaszczystych pagórków, to znów wpadała pomiędzy dwie ściany masywu leśnego.

Generał Kieniewicz wracał z odprawy w sztabie armii zasępiony i zdenerwowany.

Natychmiast! — Cóż to znaczy „natychmiast"? Natychmiast może nacierać batalion czy kompania — i to nie wtedy, gdy ma do przebycia 70 kilometrów nocnego marszu, ale dywizja? I to dywizja, która dopiero co zakończyła swoje dotychczasowe zadanie likwidacji nieprzyjaciela na północny wschód od Szczecina i której kolumny ściągały dopiero do nowego miejsca koncentracji w rejonie Golczewa...

Natychmiast! — Dowódcy armii się zdaje, że ja mam samoloty do wożenia mojej dywizji.

Brr — ależ tu zimno w tym samochodzie. Wzdrygnął się i szczelniej otulił płaszczem swą korpulentną postać.

„Ależ oni się tam uwikłali pod tym Kołobrzegiem" — pomyślał i przed oczyma stanęła mu wielka mapa robocza szefa wydziału operacyjnego 1 armii.

Sytuacja nakreślona na tej mapie pozwalała zauważyć, że nacierające jednostki, którym w ciągu kilku poprzednich dni udało się uzyskać pewne sukcesy terenowe, zatrzymały się teraz pod silnie umocnionymi węzłowymi punktami obrony miasta, które zagrodziły drogę dalszemu natarciu.

Przed 16 pułkiem piechoty znajdowały się silne umocnienia na terenie parku, batalion szkolny 6 dywizji walczył o uporczywie broniony rejon towarowej stacji kolejowej, która zamykała drogę do mostu kolejowego na rzece i kanale; przed pododdziałami 14 pułku piechoty wyrosły silnie umocnione budynki koszar stojące na drodze do mostów kołowych. Po drugiej stronie rzeki grupy szturmowe 7 i 18 pułków piechoty, które wdarły się do umocnionego rejonu dzielnicy staromiejskiej, toczyły ciężkie walki, które z powodu ciasnych ulic i zwartości zabudowy nie zawsze mogły być wspierane ogniem dział strzelających na wprost. Ponadto reszta umocnionych stanowisk obronnych nieprzyjaciela, ciągnąca się na północ od gazowni poprzez tor wyścigowy i stare forty na wybrzeżu aż do morza, mogła w każdej chwili zagrozić oskrzydleniem nacierającym po tej stronie rzeki jednostkom.

— Te wszystkie umocnienia, które pokazałem na mapie, wchodzą w skład drugiego pierścienia umocnień — mówił generał Popławski zapoznając generała Kieniewicza i dowódcę pułku czołgów ciężkich z sytuacją.

— Teraz rozumiecie, towarzysze, kryteria mojej decyzji — ciągnął dalej dowódca armii. — Zwolnienie tempa natarcia trzeciej i szóstej dywizji piechoty oraz inne trudności powstałe w toku walk, o których wspomniałem poprzednio, skłoniły mnie do wprowadzenia do walki o Kołobrzeg czwartej dywizji piechoty i czwartego pułku czołgów ciężkich z odwodu armii.

Wasza dywizja, generale Kieniewicz, powinna związać nieprzyjaciela na nie obsadzonych dotychczas kierunkach — na przykład tu, w rejonie toru wyścigowego — wskazał na rozpostartej mapie. — Przewiduję, że umożliwi to trzeciej i szóstej dywizji piechoty rozwinięcie dalszego natarcia, a tym samym przyśpieszy ostateczne rozstrzygnięcie walk o miasto.

Tak — to wszystko było najzupełniej jasne i oczywiste, jak tu jednak realizować rozkaz „natychmiast"?

Generała Kieniewicza łączyły z dowódcą armii zażyłe stosunki. Obaj znali się nawzajem i rozumieli doskonale. Tak było i tym razem. Dowódca armii wiedział, że dowódca 4 dywizji zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby przyspieszyć realizację jego nowej decyzji, a ten znów z kolei burczał i zżymał się na swego przełożonego, ale myśl jego pracowała intensywnie nad tym, jak tu najlepiej i najszybciej wykonać otrzymany rozkaz.

Z tego, co mówił na odprawie dowódca armii, wynikało, że wprowadzenie nowych jednostek z odwodu zaważy decydująco na rozwoju walki i dokona przełomu w zaistniałej sytuacji.

Od pierwszej chwili, kiedy żołnierze 12 pułku* wyładowali się z samochodów i jego bataliony rozwinęły się do natarcia wzdłuż wybrzeża morskiego, dla pułkownika Warionczyka zaczęły się poważne kłopoty. Nie dość, że była noc i pierwsze zadania musiały być określone po ciemku, ale jeszcze na dobitkę nieprzyjaciel nie był na tym odcinku dostatecznie rozpoznany. Kompanie prowadzone na podstawy wyjściowe przez nie zawsze dobrze zorientowanych łączników zatrzymywały się i błądziły opóźniając przygotowanie do natarcia.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak dopiero o świcie.

Kiedy przez poranne mgły i snujące się wszędzie dymy przedarła się pierwsza jasność poranka, a łuny nad miastem zaczęły blednąć, pułkownik Warionczyk ujrzał ze swego punktu obserwacyjnego widok, który zaniepokoił go nie na żarty. Przed ugrupowaniem 12 pułku piechoty ciągnął się głęboki rów przeciwczołgowy napełniony wodą, a za nim stromy wał wysokości około sześciu metrów. Na prawym skrzydle nad ugrupowaniem pułku dominował rozsiadły na wybrzeżu fort *Waldenfels Schanze*, z którego lada chwila nieprzyjaciel mógł otworzyć ogień skrzydłowy do słabo ukrytej piechoty 12 pułku.

Natychmiastowe rozpoczęcie natarcia było też niemożliwe, gdyż gęste drzewa parku utrudniały podciągnięcie dział, które by mogły otworzyć ogień na wprost.

---

* Wchodził on w skład 4 DP gen. Kieniewicza.

Na zmianę decyzji było jednak już za późno. Niebawem artyleria strzelająca ogniem pośrednim otworzyła ogień i natarcie ruszyło. Wkrótce jednak sprawdziły się najgorsze obawy pułkownika Warionczyka. Ledwie pierwsze plutony podeszły do rowu przeciwczołgowego, by go sforsować, nieprzyjaciel otworzył tak gwałtowny ogień, że piechota od razu zaległa. Zwłaszcza stanowiska broni maszynowej w nadmorskim forcie dawały się mocno we znaki powodując wśród nacierających straty.

Wobec niemożności sforsowania tej przeszkody pułkownik Warionczyk zdecydował obejść ją. Od strony morza było to niemożliwe, ponieważ rów dochodził do leżącego na wybrzeżu, silnie bronionego fortu *Waldenfels Schanze*. Należało wykonać obejście z południa. W tym celu 15 marca pułkownik Warionczyk przegrupował siły pułku skupiając główny wysiłek natarcia na opanowanie południowej części parku przy torze wyścigowym i przyległej do parku dzielnicy.

Nieprzyjaciel bronił się zaciekle w rejonie składów kolejowych, przy czym zauważywszy manewr 12 pułku skierował na ten odcinek silny ogień artylerii okrętowej z morza i moździerzy z rejonu portu.

Mimo to 12 pułk odniósł sukces.

Nacierający częścią sił pierwszy batalion wspólnie z batalionem piechoty radzieckiej wiązał nieprzyjaciela wzdłuż wybrzeża i pozorował próby natarcia przez rów przeciwczołgowy i wał. Część sił 4 baterii 6 pułku artylerii lekkiej blokowała

nad morzem fort *Waldenfels Schanze*, prowadząc ogień do jego murów i do gniazd nieprzyjaciela znajdujących się w rejonie kąpieliska. W tym samym czasie reszta sił pułku wykonała uderzenie przez park, zdobywając zabudowania na jego południowym skraju i nawiązując bezpośrednią styczność z lewym sąsiadem — 10 pułkiem piechoty podpułkownika Potapowicza, który podszedł do Kołobrzegu rano 12 marca i walczył o fabrykę.

*

— Halo! Halo! *Donnerwetter*, znów ta przeklęta łączność nawaliła! — denerwował się major Scheiff ciskając na stół słuchawkę polowego telefonu.

— Leutnancie Schmidt, proszę natychmiast udać się do kapitana Römiga i przekazać mój rozkaz.

Major Scheiff chodził nerwowo po ciasnym pokoiku swego stanowiska dowodzenia i raz po raz to wkładał, to znów wyjmował z oka swój w złoto oprawny monokl.

Sytuacja była krytyczna. Scheiff, doświadczony frontowiec, czuł to przez skórę. Nieprzyjaciel w nocy wprowadził do walki nowe siły we wschodniej części miasta i choć pierwsze jego natarcie załamało się w ogniu umocnień obronnych, a zwłaszcza fortu *Waldenfels Schanze*, to z pewnością wkrótce je ponowi. Skutków następnych uderzeń nie dało się przewidzieć. Scheiff,

którego uczelnie wojskowe przesyciły mądrością Clausewitza, wiedział, że najlepszą formą obrony jest atak i dlatego postanowił przed chwilą wprowadzić do akcji pociąg pancerny kapitana Römiga. Miał on wysunąć się na wysokość rozjazdu kolejowego i ogniem artylerii i broni maszynowej we współdziałaniu z artylerią okrętową, strzelającą z morza, zniszczyć siły wroga, które włamały się między torem wyścigowym i gazownią.

W chwilę po otrzymaniu ustnego rozkazu porucznik Schmidt przedzierał się przez zrujnowane ulice w kierunku dworca kolejowego. Jezdnie zawalone były gruzem. Okoliczne domy płonęły wyrzucając ze swych wnętrz kłęby czarnego dymu, wśród których tu i ówdzie widać było czerwone języki płomieni.

Porucznik Schmidt myślał o beznadziejności tej walki i udręce zgromadzonej w mieście ludności cywilnej, która zagęszczana na coraz mniejszym terenie cierpiała głód i ponosiła straty. Nie dopuszczał do siebie myśli, że to odwet losu za krzywdy, jakie cierpiała ludność okupowanych przez Niemców krajów. Nie było jednak czasu na filozoficzne refleksje. Biegł przez zwały gruzu, wzdłuż potrzaskanego pociskami parkanu w kierunku dworca.

Po drugiej stronie ulicy pod domami strzelcy z batalionu Volkssturmu przebiegali gęsiego trzymając w rękach karabiny. Zza domów raz po raz odzywały się silne detonacje i dolatywały salwy broni maszynowej.

Kiedy na torze kolejowym dało się słyszeć grzechotliwe skrzypienie, żołnierze lewoskrzydłowych jednostek 4 dywizji piechoty myśleli zrazu, że to nieprzyjaciel rzuca do walki czołgi. Wkrótce jednak, sapiąc ciężko, zza domów wytoczyło się brunatne cielsko pociągu pancernego, którego działa i karabiny maszynowe od razu plunęły gęstym ogniem na obie strony toru paraliżując natarcie polskiej piechoty.

Zabrzęczały sygnały telefonów, zaświstały radiostacje i do sztabu dywizji pobiegły natychmiast meldunki o nowej sytuacji. A była ona groźna.

Niespodziewane pojawienie się pociągu pancernego, który wdarł się od razu w sam środek ugrupowania bojowego oddziałów 4 dywizji i swym ogniem załamał natarcie, stwarzało poważne komplikacje.

Generał Kieniewicz wydał jednak natychmiast odpowiednie rozkazy. Zadanie zniszczenia pociągu pancernego otrzymał 6 pułk artylerii lekkiej. O godzinie 17.45 wszystkie baterie armat ustawiono do bezpośredniego strzelania na zachodnim skraju parku i dalej na południe aż do skrzyżowania toru kolejowego z szosą na wschód od gazowni. Baterie haubic pozostały na stanowiskach zakrytych w rejonie miejscowości Niekanin.

Dowódca pierwszego dywizjonu major Kopliński stał obok kierunkowego działa pierwszej baterii. Raz po raz podawano nowy pocisk. Ledwie

po otworzeniu zamka z działa samoczynnie wypadała wyrzucona łuska, a już ładowniczy, plutonowy Cieślak, pchał nowy pocisk w komorę zamkową. Potem następował tępy stuk ponownie domykanego zamka, pociągnięcie za sznur spustowy przyrządu odpalającego — potężny huk i lufa cofa się w tył, wyrzucając pocisk.

Znów nowy pocisk, znów stuknięcie zamka i znów działo zionie ogniem.

Huk wystrzałów wstrząsał raz po raz powietrzem, jego fale jak roztrącona uderzeniem kamienia woda roznosiły się wokoło. Pociski wyrzucane z luf ciśnieniem gazów mknęły do celu z błyskawiczną szybkością przecinając z cichym pomrukiem powietrze.

Mimo gwałtownego ognia nieprzyjaciela prowadzonego z morza i z osaczonego pociągu pancernego nikt nie myślał o tym, aby ukryć się przed ogniem. Ludzie pracowali jak automaty, zdawało się, że są częścią składową wielkiej maszyny, każdy ich ruch był obliczony i wykonany z matematyczną ścisłością. Major Kopliński stał na uboczu i przez lornetkę obserwował wyniki ognia.

Brunatne cielsko pociągu stało spowite w dymie i kurzu. W pewnym momencie silna detonacja targnęła powietrzem i w niebo wzbiła się chmura białej pary — to eksplodował parowóz, wkrótce nastąpiły dalsze wybuchy; jeden po drugim wylatywały wagony z amunicją.

Kiedy niedługo potem żołnierze 4 dywizji ruszyli znów do natarcia, na torze kolejowym,

gdzie niedawno jeszcze stał pociąg pancerny, sterczała kupa pogiętego i poszarpanego wybuchami żelastwa.

JESZCZE RAZ KOSZARY

»Walka o zdobycie „białych koszar" przedłużała się — wspomina ówczesny dowódca 2 batalionu 14 pułku Jan Nowotarski. — Po zdobyciu fortu *Siederland Schanze* prawe skrzydło batalionu posunęło się do przodu zaledwie o kilkadziesiąt metrów, lecz wskutek morderczego ognia nieprzyjaciela z budynków koszarowych kompanie szósta i czwarta znalazły się na zupełnie otwartym terenie i musiały się cofnąć.

Bez zdobycia budynków koszarowych niemożliwe było natarcie całego pułku oraz batalionu szkolnego. Trzymanie ludzi na otwartym terenie, z chwilą gdy nieprzyjaciel był ukryty w murowanych budynkach, to niepotrzebne pomnażanie strat własnych pododdziałów. Trzeba było działać energiczniej. Kiełkowała myśl o próbie zdobycia koszar w nocy. Nieprzyjaciel przed nami był przecież dość dobrze rozpoznany. Wiedzieliśmy, że posiada on również czołgi i artylerię ukrytą za domami oraz podwójne, sprzężone wielkokalibrowe przeciwlotnicze karabiny maszynowe ustawione na dachach i balkonach. Karabiny te częściej prowadziły ogień do piechoty niż do samolotów. Wiedzieliśmy, że zgrupowanie broniące koszar ma dwa czołgi. Kiedy nasze pododdziały opanowały zadrzewione wzgórze, zza domów doleciał nas warkot silników i zgrzyt gąsienic, a następnie ukazały się stalowe cielska czołgów, które otworzyły ogień z dział i karabinów maszynowych. Gdy tylko nasza artyleria zaczęła im dokuczać, natychmiast się skryły, aby za chwilę znów ukazać się w innym miejscu. Po osłabnięciu walki czołgi ukryły się na dobre na dziedzińcu koszar.

Po południu 12 marca, kiedy po zdobyciu *Siederland Schanze* dalsze natarcie na koszary okazało się niemożliwe i wygasło, na odprawie dowódców kompanii zapadła ostateczna decyzja o próbie zdobycia koszar w nocy. Decydującą rolę miały odegrać kompanie 6 i 4, a 5 kompania miała nacierać na otwartym terenie wzdłuż koszar po lewej stronie. Rozpoczęliśmy intensywne przygotowania. Zorganizowaliśmy szczegółową obserwację nieprzyjaciela i terenu przyszłych działań. Dużą rolę miały tu odegrać działa. Niestety batalion posiadał tylko trzy pepance kalibru 45 mm — jedno działko własne i dwa z baterii pułkowej. Do burzenia muru przed koszarami, a szczególnie samych koszar, „czterdziestki piątki" były jednak stanowczo za słabe. Bateria 76 mm wspierała natarcie 1 i 3 batalionów i o jej pomocy nie mogło być mowy. Batalion wspierała bateria 120 mm moździerzy porucznika Ordy w składzie 8 moździerzy. Nie mogła ona jednak zastąpić artylerii strzelającej na wprost.

Gdy tak ważyliśmy nasze możliwości i szanse nieprzyjaciela, w godzinach popołudniowych 12 marca zgłosił się do mnie dowódca baterii 152 mm armato-haubic z 5 brygady artylerii, który

zameldował, że z rozkazu dowódcy dywizji ma całą baterią zająć stanowiska ogniowe w rejonie 2 batalionu do strzelania na wprost. Był to dla nas nie byle jaki zastrzyk wzmacniający. Próbowałem zameldować dowódcy pułku o przybyciu artylerzystów. Łączność jednak chwilowo nie działała. Wobec tego wspólnie z dowódcą baterii wybraliśmy stanowiska dla dwóch dział, a dwa pozostałe miały wspierać natarcie z zakrytych stanowisk. Wolałbym, rzecz jasna, mieć wszystkie cztery działa wysunięte do ognia na wprost, zgodziłem się jednak na takie ugrupowanie, gdyż przekonały mnie argumenty dowódcy baterii, który obawiał się, że w razie cofnięcia się piechoty nie zdoła uratować swych ciężkich dział.

Stanowiska na dwa działa do strzelania na wprost zostały wybrane w lukach między domami i nieco z tyłu za nimi. Do koszar było stąd zaledwie 400—500 m.

Do prac przy urządzaniu stanowisk przydzieliłem kilku piechurów. Aby przedwcześnie nie zdradzać tych stanowisk, wykonano je wewnątrz dwóch drewnianych szop. Działa 152 mm mogły przybyć tylko w nocy, nie mogły więc skutecznie wesprzeć piechoty już w nocy z 12 na 13 marca w natarciu, które, jak powiedziałem, ruszyło zaraz po zdobyciu *Siederland Schanze* i niestety nie odniosło sukcesu.

W związku z taką sytuacją ponowne natarcie batalionu zaplanowałem na noc z 13 na 14 marca. Na przygotowanie natarcia nocnego pozostawał zatem jeszcze cały dzień.

Artylerzyści nie zawiedli. Nad ranem 13 marca usłyszeliśmy warkot ciągników wiozących działa. W miarę ich zbliżania się nieprzyjaciel potęgował ogień z całej posiadanej broni. Szybko i sprawnie podtoczyli artylerzyści swe działa na stanowiska, a sami ukryli się za pobliskimi domami. Do ostatecznego ustawienia dział znów przydzieliłem kilkunastu piechurów. Wreszcie ustawiono działa na stanowiskach nie naruszając drewnianych szop, które spełniały świetnie rolę siatek maskowniczych.

Warkot ciągników postawił nieprzyjaciela na nogi. Ożyły wszystkie jego środki ogniowe. Po intensywności ognia można by sądzić, że podciągnął tu swoje odwody, spodziewając się najprawdopodobniej naszego natarcia. Jeden z dwu samochodów artyleryjskich dowożących amunicję do dział 152 mm został unieruchomiony ogniem z karabinu maszynowego. Amunicję rozładowano i przeniesiono na rękach, a uszkodzony samochód odholowano na tyły.

13 marca, gdy poranna mgła ostatecznie opadła, po stronie nieprzyjaciela zaobserwowaliśmy szczególną krzątaninę i zdwojoną czujność. Natarcie w tych warunkach, nawet przy wsparciu dział strzelających na wprost, kosztowałoby nas bardzo drogo. Najlepszym tego dowodem była próba dokonania wypadu w sile wzmocnionego plutonu, na którą nieprzyjaciel zareagował z taką siłą, że pluton musiał się natychmiast wycofać.

O sytuacji zameldowałem dowódcy pułku majorowi Domaredzkiemu, który na ten meldunek zareagował jak zwykle ze spokojem. Wiedziałem

jednak, że dotychczasowe walki o koszary kosztowały go już sporo nerwów. Po kilkunastu minutach na moim stanowisku dowodzenia zjawił się zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych cały w błocie, gdyż na skutek silnego ognia nieprzyjaciela dwukrotnie musiał po drodze padać do rowu przydrożnego. Nie odebrało mu to jednak pasji i zamiaru wyrugania nas za „bezczynność". Toteż rozmowa zaczęła się nie od rzeczowej oceny sytuacji, lecz od pytania, dlaczego koszary jeszcze nie zdobyte. W imieniu dowódcy pułku nakazał on natychmiast podnieść batalion do natarcia. Gdy tylko jednak żołnierze 5 kompanii zaczęli wybiegać z okopów znajdujących się tuż przed moim stanowiskiem dowodzenia, nieprzyjaciel zasypał ich taką lawiną ognia, że od razu kilku zostało rannych, a reszta wróciła do okopów. W odpowiedzi na ogień dwóch karabinów maszynowych znajdujących się w budynku, w którym przebywaliśmy, nieprzyjaciel natychmiast przysłał nam w rewanżu serię pocisków z 75 mm dział. Jeden z pocisków trafił w róg domu. Gdy wybiegliśmy za budynek, drugi pocisk eksplodował na dachu. Posypały się nam na głowy gruzy, nie oszczędzając również zastępcy dowódcy pułku. Toteż gdy trzeci pocisk wybuchł w ogrodzie w pobliżu domu, nakazał on przerwać natarcie i przyznał, że sytuacja batalionu jest rzeczywiście bardzo ciężka, o czym osobiście zamelduje dowódcy pułku.

Przygotowania do nocnego natarcia kontynuowaliśmy więc w dalszym ciągu. W południe na mą prośbę przybył dowódca baterii 120 mm moździerzy porucznik Orda i sam dokonał wstrzelania się baterii do wskazanych celów. Za jego też pośrednictwem zjawił się również podporucznik Szumski, jeden z oficerów zwiadowczych dywizjonu 23 pal* wspierającego pułk. Rozdzielono cele i przygotowano ognie.

W walce nocnej batalion miał w sumie wspierać dwa działa 152 mm ogniem na wprost, dwa działa tego samego kalibru z pozycji zakrytych, trzy działa 45 mm ogniem na wprost. Bateria 120 mm moździerzy porucznika Ordy i dywizjon artylerii z 23 pal miały prowadzić ogień do celów położonych w głębi. Jeśli doliczyć do tego ogień moździerzy batalionowych i ogień broni strzeleckiej, to siła naszego ognia dawała gwarancję sukcesu.

Piechota również gotowa była do szturmu. Kompanie 6 i 4 działały jako grupy szturmowe, a 5 kompania swym natarciem z lewej miała wesprzeć ich akcję.

Znajdujący się na lewo od 5 kompanii batalion szkolny porucznika Wirsowskiego miał również we współdziałaniu z nami przejść do natarcia.

Wieczorem dowódca pułku major Domaredzki rozkazał telefonicznie, aby z nastaniem zmroku przekazać odcinek 2 batalionu jednej z kompanii batalionu szkolnego, a batalion skierować na podstawy wyjściowe do natarcia w rejonie 1 i 3 batalionu. Gdy jeszcze raz zameldowałem o przygotowaniach batalionu do nocnego natarcia, dowódca pułku nie miał w zasadzie nic prze-

* Pal — pułk artylerii lekkiej.

ciwko temu, lecz musiał uzyskać zgodę dowódcy dywizji.

Nie skończyłem jeszcze rozmowy telefonicznej, gdy wszedł mój zastępca do spraw politycznych ppor. Banasiak i, jak to było w jego zwyczaju, zawołał: „Kombat, popatrz, jak ci się podoba ten sztandar?" Rozwinął przy tym biało-czerwoną chorągiew osadzoną na grubym kiju. „Przygotowałem go do zawieszenia na koszarach" — tłumaczył mi z ożywieniem. Gdy tylko dowiedział się jednak o rozkazie dowódcy pułku — zaklął siarczyście. Pocieszałem go i sam w duchu pocieszałem się myślą, że dowódca dywizji, pułkownik Szejpak, zgodzi się na nasze plany.

Po godzinie na punkt obserwacyjny przybiegł goniec i zameldował, że dowódca pułku wzywa mnie natychmiast do telefonu.

Rozmowa i tym razem nie trwała długo.

„Dowódca dywizji wyraził zgodę na pozostawienie waszego batalionu na miejscu — brzmiał głos dowódcy pułku — z tym że musicie zdobyć koszary. Jeżeli ma was spotkać niepowodzenie, to lepiej od razu przechodźcie na nowe miejsce." Po moich zapewnieniach, że koszary będą zdobyte, dowódca pułku dorzucił jeszcze kilka słów zachęty i zaznaczył, że w razie niepowodzenia do rana musimy być na nowym miejscu.

Wzięcie na siebie dobrowolnie tak poważnego zadania jak zdobycie koszar nakładało na nas wszystkich podwójną odpowiedzialność. Nie bez racji całą naszą nadzieję pokładaliśmy w należytym wsparciu pododdziałów piechoty przez artylerię.

Przed zapadnięciem zmroku wszystkie szczegóły dotyczące działania batalionu i wsparcia artyleryjskiego były już ustalone.

Około godziny 23.00 nieprzyjaciel nieco się uspokoił. Było to nam na rękę. O godzinie 23.30 ciszę nocną rozdarł grzmot dział 152 mm strzelających na wprost. Był to sygnał do natarcia. Działa 45 mm również otworzyły ogień na wprost. Moździerze batalionowe pokryły wybuchami przedni skraj obrony nieprzyjaciela. Pułkowa bateria moździerzy 120 mm i dywizjon 23 pal zwalczały wykryte za dnia stanowiska artylerii i wielkokalibrowych przeciwlotniczych karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Artyleria działała bez zarzutu.

Cztery czerwone rakiety to sygnał do ataku. Jeszcze rwały się nasze pociski w dwóch budynkach koszarowych, gdy piechota znalazła się za murem. Cały sztab batalionu został przydzielony do kompanii piechoty, by udzielić bezpośredniej pomocy w kierowaniu walką. Wraz z podporucznikiem Banasiakiem, podporucznikiem Łopuskim i dowódcą kompanii cekaemów podporucznikiem Morosem znaleźliśmy się w szykach bojowych 4 i 6 kompanii. Nawała ogniowa naszej artylerii trwała zaledwie 10—15 minut. Działa strzelające na wprost zaprzestały ognia, moździerze batalionowe przeniosły ogień w głąb obrony nieprzyjaciela, a moździerze pułkowe i dywizjon 23 pal w dalszym ciągu prowadziły ogień nękający na tyły wroga uniemożliwiając mu podciąganie odwodów i ewakuację.

Bez przestrzegania regulaminowej ciszy

4 i 6 kompanie śmiało rwały do przodu. Nie pomogły nieprzyjacielowi granaty, którymi próbował się bronić, ani też ogień skrzydłowy z francuskiego ciężkiego karabinu maszynowego. Porzuciwszy kilka karabinów maszynowych wprost na stanowiskach nieprzyjaciel wycofywał się. W piwnicach znaleziono kilkadziesiąt karabinów i automatów, były nawet dwa moździerze. W jednej z piwnic zastaliśmy na stole ogarek dopalającej się świecy i parujące jeszcze jedzenie...

Główne budynki „białych koszar" zostały opanowane. Zdobyliśmy składy szpitalnej bielizny pościelowej w takiej ilości, że można by nią załadować cały pociąg. Zdobyliśmy też... kilkadziesiąt beczek rumu. Mniej więcej w połowie terenu koszar napotkaliśmy jeszcze silny opór nieprzyjaciela, który został jednak szybko pokonany. Obecnie trzeba było zebrać i uporządkować poszczególne pododdziały oraz umocnić zdobyty teren. Nasi łącznościowcy przypadkowo przechwycili nadawany drogą radiową otwartym tekstem meldunek obersturmführera Hempla o utracie znacznej części koszar. W momencie gdy odbierali oni rozkaz będący odpowiedzią na ów meldunek — „trzymać się za wszelką cenę, posiłki już powinny być przy was, odzyskać utracony teren" — łączność została przerwana.

Należało jak najszybciej wysunąć działa 45 mm na nowe stanowiska ogniowe. Lada chwila można się było spodziewać kontrataku fanatycznych esesmanów. Aby zachować pododdziały w gotowości bojowej, przy magazynie z rumem kazałem wystawić silne posterunki.

Przewidywania moje sprawdziły się niebawem. Po upływie pół godziny, gdy nieprzyjaciel przeszedł do gwałtownego kontrataku i udało mu się odzyskać jeden budynek koszarowy, przybiegł do mnie jeden z podoficerów meldując, że na górce znalazł barak wypełniony beczkami lakieru i lepiku. Zaproponował on podpalić ten skład i palące się beczki spuszczać z góry w stronę nieprzyjaciela. Pomysł wydał mi się dobry. Gdy za kilka minut pierwsze palące się beczki z hałasem powędrowały w stronę nieprzyjaciela, utracony przez nas budynek znalazł się niebawem znowu w naszych rękach. Dowódca pułku zadowolony był z naszych działań nocnych. „Białe koszary" zostały nareszcie zdobyte.

Tymczasem wieść o opanowaniu koszar, a przede wszystkim o zdobyciu trofeum w postaci rumu, błyskawicznie się rozeszła. Dotarła nawet do 5 brygady artylerii oraz pododdziałów tyłowych niektórych jednostek nie mających absolutnie nic wspólnego z tą walką. Toteż do trofeum dopuszczałem jedynie tabory tych pododdziałów, które przyczyniły się do zdobycia „białych koszar".

Przy zdobywaniu „białych koszar" szczególnie odznaczyli się kaprale Polz, Mokrzycki i Marcelewicz oraz szeregowcy Bogusław i Samocki.

Nad ranem ruszyliśmy znowu do natarcia. Nieprzyjaciel nie stawiał silnego oporu, ponieważ oprócz naszego batalionu nacierały tam również 1 i 3 bataliony.

Przed 2 batalionem stanęło teraz zadanie zdobycia umocnionego rejonu „czerwonych koszar".

Koszary te przylegały do dzielnicy leżącej dalej na północ i mogły być stale wspierane przez nowe siły nieprzyjaciela podchodzące przez Aleję Jedności Narodowej.

O świcie nawiązaliśmy łączność skrzydłową z 1 batalionem. „Białe koszary" zostały całkowicie opanowane, ale z nastaniem dnia walka wzmogła się jeszcze.

Wykorzystując powodzenie 2 batalionu grupa złożona z trzech żołnierzy — Oleksiuka, Moskala i Stasiłowicza z kompanii cekaemów 1 batalionu, wysunęła się do przodu i dotarła do skrzyżowania ulicy Grunwaldzkiej z Aleją Jedności Narodowej. Tam umocniwszy się w jednym z budynków prowadziła ogień z ciężkiego karabinu maszynowego wzdłuż Alei Jedności Narodowej odcinając tym samym „czerwone koszary" od zaplecza. Żołnierze utrzymali się na zajętym stanowisku w ciągu kilku godzin, co ułatwiło 2 batalionowi walkę o „czerwone koszary". Silny ogień nieprzyjaciela uniemożliwiał jednak podejście do dzielnej obsługi cekaemu. Dopiero kiedy 1 i 3 bataliony opanowały rejon ulicy Młyńskiej obchodząc „czerwone koszary" z północnego wschodu oraz gdy opanowano ogrody miejskie nad Kanałem Drzewnym, dla bohaterskiej trójki nadeszła pomoc. Znalazła ona Oleksiuka zabitego, a Moskala i Stasiłowicza ciężko rannych, lecz trwających na swoim stanowisku przy karabinie maszynowym. W czasie opanowywania „czerwonych koszar" zniszczono broniącą się tam grupę Niemców w sile około 80 ludzi. W piwnicy jednego z budynków koszarowych znaleziono spalonych 13 trupów ze związanymi rękami. Udało się wśród nich zidentyfikować dowódcę 7 kompanii podporucznika Kochana.

Po zdobyciu koszar rozpoczęło się natarcie całego pułku na dzielnicę leżącą między koszarami a Kanałem Drzewnym. 2 batalion z rejonu „czerwonych koszar" nacierał w kierunku budynków gimnazjum. Wskutek silnego ognia nieprzyjaciela natarcie rozwijało się dość ospale. Wróg był tu jeszcze silny i bronił rozpaczliwie każdego nawet najmniejszego zabudowania.

Dowódca dywizji chcąc przyspieszyć natarcie wysłał do pułków oficerów łącznikowych ze swego sztabu. Stanowisko dowodzenia pułku znajdowało się wówczas w odległości zaledwie 100 czy 150 m za tyralierą piechoty. Ze sztabu pułku do batalionów zostali również wysłani oficerowie łącznikowi. Stanowisk dowodzenia batalionów praktycznie nie było, gdyż dowódcy batalionów wraz z zastępcami wyruszyli do kompanii piechoty, którymi bezpośrednio dowodzili.

Do 5 kompanii piechoty przydzielony został mój zastępca do spraw liniowych podporucznik Edmund Łopuski. Prowadząc osobiście kompanię do ataku został śmiertelnie ranny i pozostał na skrzyżowaniu ulic pod morderczym ogniem nieprzyjaciela. Wydałem rozkaz, aby za wszelką cenę wyniesiono go spod ognia. Nie trzeba było zresztą rozkazu, gdyż samorzutnie znalazło się kilku ochotników gotowych narazić swe życie dla ukochanego przez wszystkich oficera. Skrzyżowanie ulic, na którym leżał dogorywający bohater,

było jednak tak silnie ostrzeliwane przez snajperów i broń maszynową nieprzyjaciela, że dopiero po przeszło godzinie udało się wydostać ciało podporucznika Łopuskiego. Poległ przy tym 1 żołnierz, a 4 innych ochotników zostało rannych.

Wszyscy widzieliśmy już w tej wojnie wiele zgonów, często najbliższych nam osób, a jednak nie było wśród nas wtedy żołnierza, który nie płakałby na widok tej bohaterskiej śmierci. Opowiadano mi, jak w krytycznym momencie ten dzielny oficer z pistoletem w ręku wybiegł przed szyki kompanii z okrzykiem: „Za Ojczyznę! Za Polskę! Naprzód!" W momencie gdy kilkunastu śmiałków rzuciło się za nim do szturmu pobliskich domów, spotkał ich huraganowy ogień. Kilku zostało od razu rannych, zdołali jednak wycofać się o własnych siłach, kilku innych padło niedaleko od porucznika ginąc jak i on śmiercią bohaterów. Podporucznik Łopuski zachwiał się, coś jeszcze krzyknął i upadł ciężko ranny w pierś i brzuch, wyciągnięta do przodu ręka z pistoletem jakby chciała dosięgnąć morza, polskiego morza...

Pod wieczór niedaleko miejsca, gdzie poległ, pochowaliśmy go z wszelkimi honorami, na jakie nas było stać. Przemówienie pożegnalne ze wzruszeniem wygłosił adiutant batalionu porucznik Wilhelm Bigda. Oddział honorowy składający się z działka 45 mm, plutonu moździerzy, plutonu fizylierów i drużyny rusznic ppanc. oddał trzykrotną salwę. Podporucznik Łopuski został pochowany w mundurze oficerskim, który miał na sobie, a który, jak sam opowiadał, uszyty był

w 1939 r. Mundur ten służył Łopuskiemu podczas kampanii wrześniowej, w nim też brał pomstę za ten tragiczny wrzesień. Pistolet został wyjęty z zaciśniętej dłoni i włożony do kabury, którą założono na pas z poprzeczką.

Tak pożegnaliśmy bohatera, kochanego przez wszystkich dowódcę i kolegę, który przed samym wybuchem wojny w 1939 r. otrzymał stopień oficerski. Jego postać powinna na zawsze pozostać w pamięci rodaków. Winna utrwalić się w pamięci jako symbol. Bo bohaterów było przecież wielu. Wielu było szarych, prostych żołnierzy, którzy często na ochotnika zgłaszali się do wykonywania trudnych zadań i oddawali swe życie za wolność ojczyzny. Mało kto dziś o tych bohaterach pamięta, a przecież ich ofiara była najwymowniejszym dowodem wielkiego patriotyzmu i nie był to bynajmniej romantyzm, lecz jak najbardziej świadome i realne poświęcenie się dla całego narodu.

14 marca po zdobyciu „czerwonych koszar" major Domaredzki otrzymał od dowódcy dywizji nowe zadanie. Zadanie opanowania Wyspy Solnej leżącej między rzeką i kanałem, oczyszczenia jej z nieprzyjaciela i przeprawienia się przez Parsętę na wschodni brzeg w celu nawiązania współdziałania i udzielenia wsparcia 18 pułkowi piechoty pułkownika Ziarkowskiego, który walczył jeszcze w rejonie starego miasta i pozostawał w tyle w stosunku do rubieży osiągniętej przez 14 pułk piechoty. Po zaciętych walkach i to zadanie zostało wykonane.

Wyspę Solną łączył z lądem most. Był on jednak zerwany. Próby sforsowania rzeki po tym moście zawiodły. Niemcy dysponowali tu zbyt silnymi umocnieniami. Opracowano więc plan działania przez zaskoczenie. Polegał on na tym, aby koło zerwanego mostu związać nieprzyjaciela ogniem, pozorując tu główny wysiłek forsowania, właściwą przeprawę zorganizować zaś w zupełnie innym miejscu.

To trudne zadanie miała wykonać pułkowa kompania fizylierów pod dowództwem ppor. Dzidy. Pozycją wyjściową miała być grupa zdobytych tego dnia domów otoczonych parkiem. Celem forsowania było uchwycenie przyczółka na Wyspie Solnej w dzielnicy willowej. By uzyskać zaskoczenie, wypad miał się odbyć nocą.

O zmierzchu kompania fizylierów przeszła do nadbrzeżnych domów. Ppor. Dzida zorganizował obserwację nieprzyjaciela i zarządził poszukiwania środków przeprawowych.

Na podstawie obserwacji można było przypuszczać, że nieprzyjaciel rozporządza na tym odcinku o wiele słabszymi siłami aniżeli koło zerwanego mostu. Nad samym brzegiem widać było jego okopy, dość słabo obsadzone, a za nimi wille i przystosowane do obrony zabudowania szpitalne.

Niebawem fizylierzy znaleźli cztery uszkodzone łodzie, które szybko uszczelniono i doprowadzono do stanu używalności. Ponieważ nie mogły one wystarczyć do przeprawienia kompanii

w jednym rzucie, ppor. Dzida polecił wyszukać i przygotować podręczne środki przeprawy, co w głównej mierze polegało na sporządzeniu tratw ze znalezionych belek i desek.

Dowódca miał nadzieję, że wobec stosunkowo niewielkich sił nieprzyjaciela uda im się skrycie przeprawić przez rzekę. Do forsowania chciał jednak przystąpić odpowiednio wcześnie, aby do świtu opanować nadbrzeżne ogrody i budynki szpitalne oraz ubezpieczyć przeprawę 3 batalionu, który otrzymał zadanie opanowania wyspy.

Zebrawszy dowódców plutonów postawił im zadania: 1 pluton z drużyną cekaemów przeprawi się na łodziach w pierwszym rzucie i zachowując ciszę obezwładni załogę okopów nieprzyjaciela nad brzegiem oraz ubezpieczy przeprawę dalszych plutonów. Gdyby nie udało się opanować okopów w ciszy, należy dezorientować nieprzyjaciela co do ilości przeprawionych oddziałów i osłaniać przeprawę.

2 pluton przeprawi się w drugim rzucie na środkach podręcznych i natychmiast po wylądowaniu przystąpi do szturmu domów po prawej stronie przeprawy.

3 pluton na środkach podręcznych przeprawi się również w drugim rzucie z zadaniem szturmowania natychmiast po wylądowaniu domów po lewej stronie przeprawy.

Po opanowaniu pierwszych domów plutony umocnią się w nich i osłonią przeprawę 3 batalionu.

Przed rozpoczęciem przeprawy na łodziach us-

stawiono cekaemy i przygotowano je do prowadzenia ognia w czasie ruchu.

Na dwie godziny przed świtem ppor. Dzida zaczął przeprawiać się na Wyspę Solną wraz z pierwszym rzutem. Noc była ciemna i sprzyjała wykonaniu zadania. Zachowując wszelkie środki ostrożności łodzie szybko zbliżały się do wyspy. Gdy osiągnęły już przeciwległy brzeg, nieprzyjaciel wystrzelił rakietę oświetlającą — dalsze zachowywanie ciszy było już bezcelowe. Cekaemy ustawione na łodziach otworzyły ogień. 1 pluton wylądował i rzucił się do szturmu na okopy. Nieprzyjaciel nie wytrzymał gwałtownego i niespodziewanego uderzenia. Okopy zostały zdobyte. Jednakże fizylierzy nie zaprzestali ognia. Raz po raz eksplodowały rzucane przez nich granaty. Dowódca 1 plutonu ppor. Wieczorek wystrzeliwał w różne strony niemieckie rakiety sygnalizacyjne. Zdezorientowało to nieprzyjaciela nie tylko co do ilości nacierających, ale także co do miejsca lądowania. W ciemnościach rozpoczęła się bezładna strzelanina na całej wyspie. W tym czasie na środkach podręcznych przeprawił się już drugi rzut kompanii, to jest 2 i 3 pluton.

Zaraz z przeprawy fizylierzy ruszyli do szturmu i korzystając z zamieszania panującego na pozycjach wroga opanowali pobliskie budynki.

O świcie kompania fizylierów wsparta już ogniem artylerii przeszła do natarcia uzyskując coraz nowe sukcesy. Rozpoczął też przeprawę 3 batalion.

W czasie gdy kompania fizylierów i 3 batalion forsowały Kanał Drzewny, by opanować Wyspę Solną, inna kompania pozorowała forsowanie kanału i wiązała nieprzyjaciela przy zerwanym moście.

Próby forsowania wywołały silny ogień Niemców, którym demaskowali oni swoje stanowiska ogniowe. Dowódca kompanii ppor. Majewski obserwował cały czas przedpole i oznaczał na szkicu rozmieszczenie broni maszynowej i ugrupowanie nieprzyjaciela na wyspie.

Za zerwanym mostem na kanale w odległości około stu metrów znajdował się drugi most przez rzekę łączący Wyspę Solną z centrum miasta. Most ten nie został jeszcze wysadzony, gdyż służył nieprzyjacielowi do utrzymywania łączności z wyspą. Dowódca kompanii zauważył, że Niemcy przygotowują się do zniszczenia i tego mostu. Przez lornetkę widać było nawet kostki materiału wybuchowego przytwierdzone do żelaznych kratownic oraz prowadzące do nich kable. Za wszelką cenę należało nie dopuścić do wysadzenia mostu.

Ppor. Majewski zorganizował grupę szturmową złożoną z drużyny saperów i plutonu piechoty z dwoma cekaemami. Działania grupy miał też wesprzeć swym ogniem pluton moździerzy 82 mm oraz dwa działa 45 mm.

Gdy nadszedł wieczór, w domach nad brzegiem zgromadzono sporą ilość materiałów podręcznych mających ułatwić przeprawę po wysadzonym moście. Środki wsparcia zajęły nowe stanowiska ogniowe, a grupa szturmowa otrzymała dodatkową ilość amunicji i granatów.

Przed świtem na odcinku prawego sąsiada wy-

wiązała się silna strzelanina — był to znak, że kompania fizylierów rozpoczęła forsowanie. W 10 minut później, gdy walka przybrała na sile, grupa szturmowa ppor. Majewskiego rozpoczęła przeprawę przez wysadzony most. Pod osłoną ciemności strzelcom udało się przedostać pod filar stanowiący przyczółek mostowy na wyspie. Nieprzyjaciel nie oddał ani jednego strzału. Cała jego uwaga była skierowana na odcinek forsowania kompanii fizylierów. Dopiero gdy grupa szturmowa znalazła się na brzegu wyspy, nieprzyjaciel wystrzelił rakiety oświetlające i otworzył ogień z broni maszynowej. Było już jednak za późno. Grupa gwałtownym szturmem opanowała niewielki budynek za mostem i zdobyła cekaem. Dwa własne cekaemy zostały natychmiast ustawione w zabarykadowanych oknach i otworzyły ogień wzdłuż ulicy. Niemcy, którzy od strony parku zaczęli przebiegać przez ulicę, natychmiast dostawali się pod ostrzał. Rozpoczął też ogień własny pluton moździerzy. Zmusiło to nieprzyjaciela do wycofania się i umożliwiło przeprawę pozostałych plutonów kompanii, które w niedługim czasie zajęły opanowany przez grupę szturmową budynek i ruszyły do dalszego natarcia wzdłuż ulicy prowadzącej do mostu na kanale.

Plan ppor. Majewskiego został zrealizowany. Gdy plutony toczyły walkę o bloki nad kanałem, grupa szturmowa osiągnęła most i zerwała kable mające służyć do jego wysadzenia. Ugrupowanie nieprzyjaciela na Wyspie Solnej zostało rozcięte na dwie części: prawą, z którą toczyła walkę kompania fizylierów, i lewą, która na skutek natarcia kompanii piechoty była coraz bardziej spychana ku cyplowi wyspy, gdzie znajdował się silnie broniony fort *Schils Redoute*. Niemcy, zaatakowani przez kompanię fizylierów ppor. Dzidy, usiłowali początkowo wycofać się przez most, jednakże po stwierdzeniu, że jest on już opanowany, a sami znajdują się w okrążeniu, rozpoczęli bezładną ucieczkę z wyspy wpław przez rzekę, wielu z nich poniosło śmierć w ogniu polskiej broni maszynowej, a cały sprzęt dostał się w ręce nacierających oddziałów.

Wyspa Solna została opanowana z wyjątkiem fortu na jej cyplu, który padł dopiero w kilka dni później, zdobyty przez batalion szkolny 6 dywizji piechoty. Uchwycony most wykorzystano nazajutrz do dalszego natarcia oddziałów w kierunku śródmieścia i portu.

Po mostach przeszedł na wyspę, a następnie na prawy brzeg rzeki cały 14 pułk i rozpoczął natarcie wzdłuż prawego brzegu Parsęty w kierunku portu.

Prawym sąsiadem pułku był w tym natarciu 18 pułk piechoty, który także osiągnął już rejon mostu.

DESANT MORSKI

14 marca w południe młody radiotelegrafista sztabu armii, kapral Józef Walczak, otrzymał całkiem niecodzienne zadanie — nawiązać łączność radiową ze sztabem nieprzyjaciela. Czegoś po-

dobnego jeszcze nie było. Z każdą z podległych dywizji czy brygad nawiązywał łączność w mig, na każde zawołanie. Ze sztabem 1 Frontu Białoruskiego — proszę bardzo, z sąsiadami — dlaczego nie — takie zamówienia załatwiało się od ręki — ale żeby z nieprzyjacielem?!

Takimi rzeczami trudnił się wprawdzie po trochu jeden z jego kolegów, Kazik Pietrzak, z oddziału rozpoznawczego, ale ten nie dysponował nawet porządną radiostacją, tylko prowadził nasłuch za pomocą odbiornika i koledzy śmieli się z niego, że zamiast uczciwej pracy tylko słucha sobie zagranicznych koncertów...

Józek siedział teraz pochylony nad swym aparatem i obracał z wolna gałkę odbiornika — bez rezultatu. „Może by tak Kazik co pomógł" — pomyślał bez przekonania. Wstał, zdjął z uszu słuchawki i zapytał kapitana, czy może zwrócić się o pomoc do nasłuchu.

— Naturalnie, tylko szybko, bo sprawa jest pilna — mamy specjalny rozkaz dowódcy armii.

Tym razem Kazik Pietrzak okazał się nieoceniony. Zdziwił się wprawdzie trochę, na co to Józkowi potrzebne, ale gdy się dowiedział, że na rozkaz dowódcy armii, dał dokładne długości fal nieprzyjacielskich radiostacji, a nawet godziny ich pracy.

Potem dopiero wydało się, że cała ta mądrość nie była wcale zasługą Pietrzaka — dane te pochodziły bowiem od niemieckich radiotelegrafistów-marynarzy. Korygowali oni ogień jednego z niszczycieli i zostali wzięci do niewoli wraz z radiostacją i wszystkimi dokumentami.

Teraz, kiedy Walczak miał już te dane, wszystko poszło łatwo. Niebawem radiostacja została dostrojona do długości fal radiostacji sztabu obrony Kołobrzegu i o godzinie 15.30 sztabowy tłumacz otwartym tekstem nadał radiogram dowódcy armii wzywający dowódcę twierdzy do poddania Kołobrzegu.

Kiedy po ostatnim słowie depeszy tłumacz zawołał „odbiór" i kapral Walczak przełączył aparat na odbiór — wszyscy nastawili uszu, aby usłyszeć, co na to powiedzą Niemcy. W słuchawkach słychać było jednak tylko głuchy szum i normalne trzaski atmosferyczne.

Wobec upartego milczenia w eterze w pół godziny później wezwanie do kapitulacji nadano powtórnie. I znów radiotelegrafista Walczak przeszukiwał starannie cały sektor fal, na których pracował nieprzyjaciel — cisza...

Nagle w słuchawkach zatrzeszczało i zrazu słabo, a po chwili już zupełnie głośno ozwał się wyraźny głos: — *Achtung! Achtung! An den Oberbefehlshaber der Kolberg belagernden Truppen!**...

Z rozkazu komendanta twierdzy kwituję odbiór radiogramu z godziny 15.30 — znów kilka trzasków i... cisza.

Józek przełączył na nadawanie, a kapitan powtórzył odebrany tekst, zaznaczając na końcu, że dalszego ciągu nie dosłyszano.

Po chwili znów ozwała się portowa radiostacja i niemiecki telegrafista zakomunikował, że był to

* Uwaga! Uwaga! Do głównodowodzącego wojskami oblegającymi Kołobrzeg!

cały tekst depeszy i nic więcej nie ma do przekazania.

A więc — nic — tylko pokwitowanie odbioru. Wezwanie do kapitulacji było więc bezskuteczne.

Wobec nieprzyjęcia przez nieprzyjaciela propozycji kapitulacji oddziały 1 armii wznowiły przerwane o godzinie 14.00 działania bojowe.

*

15 marca fregattenkapitän Kolbe już od samego rana „żył nerwami". Najpierw trudności w uzyskaniu radiowego połączenia ze Świnoujściem i ciągłe tłumaczenie się przed komendantem twierdzy z braku wiadomości.

Aż tu nagle w samo południe, kiedy już wszyscy zwątpili w nadejście drogą morską przyrzeczonej pomocy — ten nowy niespodziewany meldunek.

Fregattenkapitän Kolbe obracał w ręku i już po raz trzeci odczytywał przyniesioną z portowej radiostacji krótką notatkę, że nawiązano łączność z konwojem statków, który płynie do Kołobrzegu z posiłkami i z zamiarem dopomożenia w ewakuacji części ludności cywilnej.

— Idiotyzm! — żachnął się Kolbe i cisnął kartkę na stół. — W biały dzień będą stali na redzie i jak idioci będą czekać, aż ich ta czerwona zaraza zbombarduje!

Z małego stołeczka w kącie izby podniósł się marynarz i bez słowa podał swemu dowódcy fajkę.

Kilka potężnych dymów z fajki przywróciło Kolbemu spokój.

— Lada chwila mogą się znaleźć na redzie. Całe szczęście, że dziś mgła nisko wisi i chmury, może nie przylecą. Trzeba zaraz przygotować lądowanie i zameldować dowódcy o wszystkim.

U komendanta twierdzy czekała jednak Kolbego nowa próba nerwów i nowa niezrozumiała dlań niespodzianka.

Pułkownik spokojnie wysłuchał meldunku, w pierwszej chwili nawet jakby się ucieszył, a potem nagle zatrzymał się przed marynarzem, wlepił w niego swe nieruchome szare oczy i zawołał:

— *Nein, nein, nein* — żadnego desantu nie będzie, żadnego lądowania, żadnych nowych sił tu nie trzeba, wystarczy już tych strat, które ponieśliśmy do tej pory!

Kolbe pomyślał, że jeśli dowódcy tak bardzo zależy na uniknięciu strat, to czemu nie odpowiedział wczoraj na wezwanie do kapitulacji. Już chciał to powiedzieć — powstrzymał się jednak.

Nie pozostawało nic innego, jak odmeldować się. Gdy wyszedł na ulicę, wzmożony ogień artylerii świadczył o tym, że na morzu pojawił się jakiś nowy cel dla artylerii oblegających.

A więc są już na redzie! Mimo wszystko trzeba się zająć lądowaniem.

*

Dzień 16 marca zapowiadał się jak najgorzej. Już od świtu ciężkie zwały chmur wisiały nad samą ziemią. Gęsta mgła osłaniała krańce lotniska i wlokła się postrzępionymi tumanami po murawie. Przy stole panowało ponure milczenie. Załogi samolotów myśliwskich pułku „Warszawa" spoży-

wały śniadanie w fatalnych nastrojach. O lotach nie można było nawet marzyć. Od chwili kiedy przylecieli na nowe lotnisko polowe w Mirosławcu, wszyscy myśleli tylko o tym, co dzieje się na wybrzeżu. Wiedzieli, że w Kołobrzegu toczą się niezwykle ciężkie walki, że nieprzyjaciel wprowadził do działań jednostki floty bałtyckiej, że wojska lądowe idą do natarcia bez osłony lotnictwa. Czuli się wprost winni, że właśnie teraz, kiedy tam rozgrywają się decydujące walki, oni siedzą przy stole i spokojnie jedzą śniadanie.

Nagle wszyscy znieruchomieli, a w chwilę potem rzucili się do okien. Wśród gęstej mgły słychać było wyraźnie warkot nadlatującej maszyny.

— „Batka"*! — zawołało kilku pilotów wybiegając przed budynek.

„Batką" nazywali swego dowódcę pułku podpułkownika Tałdykina. Kochali go wszyscy i podziwiali, gdyż był on nie tylko świetnym dowódcą, ale prawdziwym ojcem i opiekunem młodych polskich pilotów. Kiedy wylatywali z Bydgoszczy, dowódca został tam jeszcze, aby dopilnować osobiście dyslokacji. I oto teraz, kiedy wszystko wskazywało, że loty są niemożliwe, doleciał ich ten warkot samotnie lecącej maszyny — to nie mógł być nikt inny jak tylko „Batka". Równy, matowy łoskot silnika ścichł nagle, potem znów odezwał się z hukiem. Kotarę mgły rozdarła ciemna sylwetka myśliwca. Po chwili już dotknął kołami ziemi i toczył się po zielonkawobrunatnej powierzchni lotniska.

* Batka, właściwie *bat'ka* — tatuś (ros.).

Zanim zdążyli dobiec, pilot wysiadł z maszyny i szedł ku nim machając z daleka swym wielkim mapnikiem na długim rzemiennym pasku.

— Niemcy lądują w Kołobrzegu — to były jego pierwsze słowa. — Za wszelką cenę musimy zorganizować wylot. Wiadomość nie była jeszcze potwierdzona, niemniej jednak zelektryzowała wszystkich. Radio przynosiło wprawdzie tylko komunikaty o sytuacji naziemnej w samym mieście, jednak prośby o wsparcie lotnicze powtarzały się kilkakrotnie. Mimo że nic nie zapowiadało polepszenia pogody, cztery razy załogi przygotowywały się do startu i cztery razy odwoływano alarm. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że lot w taką pogodę byłby zwykłym szaleństwem. Podpułkownik Tałdykin nie dawał tak łatwo za wygraną. Wysłał jednego z najlepszych pilotów kapitana Bojewa, na rozpoznanie pogody.

Koło południa nadeszło potwierdzenie wiadomości przywiezionej przez dowódcę z Bydgoszczy. Łącznik przybiegł z szyfrówką od dowódcy dywizji. Treść była krótka: *Nieprzyjaciel ląduje w Kołobrzegu. Za wszelką cenę wysłać samoloty szturmowe w osłonie myśliwców celem przeszkodzenia desantowi.*

— Wysłanie w taką pogodę większej grupy samolotów nie może oczywiście wchodzić w grę — mówił podpułkownik Tałdykin. Jeżeli poleci klucz *Iłów*, do jego osłony wystarczy para myśliwców. Poprowadzę sam.

Piloci chcieli zaprotestować. Wiedzieli, że na takie zadanie musi polecieć doświadczony pilot, ale mógł to być przecież jeden z dowódców eskadr

czy nawet kluczy. To byłoby całkowicie zgodne z regulaminem. Dowódca pułku powinien raczej zostać. Decyzja „Batki" była jednak wypowiedziana tonem tak stanowczym, że wszyscy zrozumieli bezcelowość wszelkich perswazji.

— Poleci ze mną kapitan Lisiecki — dodał podpułkownik Tałdykin i odszedł szybko do radiostacji.

Niedługo potem wylądował Bojew. Zameldował, że na północ od lotniska sytuacja meteorologiczna jest nieco pomyślniejsza.

W kilka minut później dwa *Jaki* wystartowały, spotkały się ze szturmowcami i lecąc w zwartym szyku wzięły kurs na Kołobrzeg. Warunki atmosferyczne nie były tu jednak wiele lepsze niż nad lotniskiem. Widoczność była minimalna, gęsta mgła utrudniała lot i gdyby nie stała łączność radiowa między samolotami, trudno byłoby utrzymać się w szyku. Chwilami podmuchy silnego wiatru rozwiewały mgłę, widoczność poprawiała się na chwilę, ze skłębionych oparów wyłaniały się sylwetki garbatych *Iłów*, które sunęły na tle ledwie widocznej ziemi. To były tylko krótkie momenty, chmury znów zakrywały wszystko, maszyny pogrążały się w białej, dotykalnej niemal wacie gęstej skłębionej mgły, a horyzont znikał sprzed oczu.

Nad morzem powietrze było nieco czystsze — opowiadał potem kapitan Lisiecki. — *Wyszliśmy wprost na Kołobrzeg. Powitał nas gęsty ogień niemieckich zenitówek. Wykonaliśmy manewr przeciwartyleryjski i skierowaliśmy się nad morze, gdzie od ciemnej powierzchni wody wyraźnie odcinały się sylwetki kilku jednostek pływających. Początkowo obaj trzymaliśmy się w górze wypatrując niemieckich samolotów, podczas gdy „Iły" zaatakowały po burty załadowane statki i barki desantowe. Widząc jednak, że nic nie zagraża nam z powietrza, zaatakowaliśmy nadbrzeżne baterie przeciwlotnicze. Po pierwszym zejściu „Iły" zaatakowały dwa niemieckie niszczyciele, których długie sylwetki ożyły nagle i plunęły ogniem dział i karabinów przeciwlotniczych. Kiedy obaj z Tałdykinem nabraliśmy znów wysokości, na kilku statkach zobaczyłem płomienie.*

Zadanie było wykonane i kiedy robiliśmy już skręt do odlotu, nagle jeden z pocisków wybuchł tuż obok samolotu podpułkownika Tałdykina. Chciałem dowiedzieć się czegoś bliższego, ale nasz kontakt radiowy ograniczał się tylko do lakonicznych meldunków, rozkazów i komend. Po głosie, który słyszałem w słuchawkach, wyczuwałem jednak, że dowódca jest ranny. Uważnie śledziłem jego maszynę, wyobrażałem sobie, z jakim wysiłkiem musi ją prowadzić. Mimo osłabienia utrzymywał się jednak w szyku. Im bliżej lotniska, tym znów gęstniały mgły. Ich pułap był tak niski, że wlokły się prawie po ziemi. Lecieliśmy niskim lotem koszącym wymijając dosłownie wierzchołki drzew. W pewnym momencie straciłem samolot podpułkownika z oczu, a w chwilę później usłyszałem w słuchawkach jego słaby głos pytający, gdzie jestem. Zameldowałem, że lecę nad grupę wysokich topól, w chwilę potem zobaczyłem jego samolot przechylony niebezpiecznie

na skrzydło i lecący wprost na te topole. Ostrzegłem go, nie odpowiedział jednak na moje pytanie. W słuchawkach usłyszałem tylko jakby jęk. Maszyna przeszła tuż nad wierzchołkami drzew, przez chwilę leciała poziomo, a potem nagle przechyliła się i korkociągiem runęła w dół uderzając w nasyp kolejowy...

*

W późnych godzinach popołudniowych mimo ognia artyleryjskiego i nalotu „czerwonego" lotnictwa, którego tak obawiał się fregattenkapitän Kolbe, dwom kompaniom z przybyłego jako desant morski batalionu *Kell* udało się wylądować.

Komendant twierdzy musiał się pogodzić z tym faktem. Wydał więc rozkaz, aby kompanie te wprowadzono natychmiast do walki z zadaniem wykonania silnego kontrataku, który miał oczyścić rejon dworca kolejowego i wyprzeć nacierające oddziały z Kaiserplatz i przyległych ulic.

Z obu kompanii batalionu *Kell* utworzono silne grupy szturmowe, które późnym wieczorem wykonały gwałtowne kontrataki wsparte czołgami: jeden w kierunku południowo-wschodnim — w stronę mostu, a drugi w kierunku wschodnim — wzdłuż toru kolejowego.

Grupom tym nie udało się jednak osiągnąć zamierzonego celu, zdołały one zaledwie odzyskać północną i zachodnią stronę Kaiserplatz, gdzie stoczyły zaciekłą walkę z pododdziałami 7 pułku piechoty.

Grupa kontratakująca wzdłuż toru kolejowego

zatrzymana została przez pododdziały 10 pułku piechoty, z którymi stoczyła niezwykle dramatyczną walkę o parowozownię i składy kolejowe, które kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk.

W nocy wylądowała trzecia kompania batalionu *Kell*, lecz kontrataki już wygasły i dowódca twierdzy nakazał obsadzić tymi oddziałami stanowiska obronne w rejonie stacji kolejowej.

Tymczasem w porcie rozgrywały się tej nocy sceny, które przyrównać by można do obrazów piekła dantejskiego. Ludność cywilna na wieść o przybyciu na redę statków, niebaczna na ogień artylerii, który raził rejon portu, i niepomna najsurowszych nakazów zachowania porządku i dyscypliny, ruszyła szturmem na port.

Tu jednak czekał ją srogi zawód. W porcie urzędował SS oberführer Bertling i wydawał przepustki ewakuacyjne wyłącznie członkom partii. Zrozpaczone, rozszalałe niemal kobiety, którym dopiero co rozkazem NSDAP kazano uchodzić z ich własnych domów podpalanych przed oddaniem w ręce oblegających — teraz miały znów ustąpić przed brutalną przemocą tegoż NSDAP. Nie! Raczej wywalczą sobie miejsce siłą...

Ale oberführer Bertling był nieubłagany. Kiedy pod naporem cywilów pękł kordon porządkowy utrzymywany przez resztki batalionu obersturmführera Hempla, do cywilów posypały się pierwsze strzały. Pod ich osłoną do łodzi desantowych ładowali się esesmani i członkowie partii hitlerowskiej...

Tymczasem o kilka kamienic dalej walczono. Na ostatnich pozycjach wzgórza Maikuhle trwali żołnierze Volkssturmu, a w rejonie stacji — batalion *Kell*.

O świcie szturmujący wzmogli nacisk. Pierścień wokół portu zaciskał się coraz bardziej.

*

Jedna z grup szturmowych 7 pułku piechoty pod dowództwem porucznika Zarożnego nacierając w kierunku dworca kolejowego opanowała dwa narożne budynki. Dalsze natarcie tej grupy zatrzymane zostało silnym ogniem nieprzyjaciela z umocnionych bloków naprzeciwko, między którymi ulica zamknięta była barykadą z kamieni i płyt chodników z wbudowanym czołgiem strzelającym wzdłuż ulicy. Barykada broniona była przez świeże siły nieprzyjaciela, toteż kilkakrotne próby natarcia oblegających nie dawały rezultatu. Porucznik Zarożny, prowadząc dokładną obserwację pola walki, zauważył, że w narożnym budynku znajduje się sklep rzeźniczy Hansa Schmidtke, a naprzeciw niego, po stronie nieprzyjaciela, w przeciwległym narożniku duża restauracja, na której wisiał szyld z napisem *Restaurant Hans Schmidtke*. Wniosek był prosty — sklepy po obu stronach ulicy należały widocznie do tego samego właściciela.

Dowódca grupy szturmowej wysłał natychmiast trzech strzelców dla dokładnego zbadania sklepu rzeźniczego. Przypuszczenia nie zawiodły. Po 20 minutach strzelcy powrócili meldując, że z piwnic znajdujących się pod sklepem rzeźniczym prowadzi podziemne przejście do piwnic pod restauracją.

Decyzja porucznika Zarożnego była szybka. Pozostawił on część ludzi w zdobytych budynkach, z zadaniem wiązania ogniem znajdującego się przed nimi nieprzyjaciela, a sam z dziesięcioma ludźmi, uzbrojonymi w pistolety maszynowe i dużą ilość granatów, wszedł w podziemne przejście.

Niespodziewane zjawienie się naszych żołnierzy na tyłach nieprzyjaciela wywołało wśród obsady barykady popłoch. Pod uderzeniami granatów przeciwczołgowych i butelek zapalających wbudowany w barykadę czołg stanął w płomieniach. Uciekający hitlerowcy rażeni celnym ogniem fizylierów wchodzących w skład grupy szturmowej ponieśli ciężkie straty. Barykada została zdobyta, a niedługo potem oczyszczono także od nieprzyjaciela kilka sąsiednich budynków.

Grupa naciera dalej, ale im bliżej morza, tym walka staje się ostrzejsza. Chwilami trudno unieść głowę spoza rumowiska gruzów. Morderczy ogień błyska seriami świateł w ciemnościach.

Na skwerze przed dworcem stoją okopane i umocnione dwa działa pancerne. Linia okopów i betonowe stanowiska bojowe bronią toru kolejowego. To najsilniejsza ze wszystkich linia oporu wroga. Tu skupił się cały jego wysiłek — na utrzymaniu ostatniego skrawka Kołobrzegu.

Piechotę wspierają działa strzelające na wprost, śmiało wysunięte przez artylerzystów na przednią linię. Wśród tych dział, posuwających się za na-

cierającą piechotą, jest także 122-milimetrowa haubica... Wykorzystuje się każde skrzyżowanie, każdy występ murów do prowadzenia ognia na wprost.

Silny ogień artylerii zmusza nieprzyjaciela do wycofywania się. Hitlerowcy porzucają swe stanowiska. A za nimi suną nasze czołgi prowadząc bez przerwy ogień. Linia toru kolejowego zostaje zdobyta.

Oddziały 7 pułku prą dalej. Spoza rozrzuconych wagonów i maszyn padają serie strzałów. Gdzieś z boku zaczyna się palić magazyn. Ale piechota idzie zdecydowanie naprzód, zbliżając się szybko do wyznaczonego celu.

Grupy szturmowe zajęły stanowiska za składami kolejowymi. Przez otwory wybite w ścianach widać już morze, w którym wszyscy widzą ostateczny cel walki o Kołobrzeg. Jednak między morzem i naszymi żołnierzami jest jeszcze wróg.

Wściekle trzeszczą hitlerowskie cekaemy siejąc seriami pocisków. Z przeciągłym gwizdem nadlatują z morza granaty artylerii okrętowej.

— Naprzód!

Strzelcy grup szturmowych z automatami w rękach biegną co tchu. Przed sobą u wejścia do domu widzą jakiś przedmiot o okrągłym kształcie. To betonowe stanowisko ogniowe wroga. Odbezpieczone granaty lecą w ambrazurę. Pomarańczowe błyski wytryskują wkoło. Obrońcy nie wytrzymali brawurowego ataku. Biały skrawek materiału pojawia się w szczelinie strzeleckiej.

— Hura! Naprzód!

Od strony wielkich bloków za stacją sypie się grad pocisków, który zagradza drogę do ostatecznego celu — do portu. Strzelcy rozpaleni walką idą jak huragan, wyprzedzając działa pancerne. Od czoła znów silny ogień nieprzyjacielskiej artylerii. Trafione działo szturmowe zapala się, ale obsługa nie opuszcza go. Podczas gdy celowniczy i ładowniczy strzelają, mechanik z dowódcą gaszą pożar. Za chwilę można jechać dalej.

Wśród płonących domów, walących się ścian, gdzie z okien i dachów sypie się grad pocisków, grupy szturmowe prą wciąż naprzód. Saperzy torują drogę, rozminowują, wysadzają barykady i walczą.

Hitlerowcy ostrzeliwują się z szaleńczą furią. Karabiny maszynowe grają z każdego piętra, z każdego domu.

I znów nad płonącym, pełnym dymów i ognia miastem pojawiają się polskie i radzieckie szturmowce krążąc nad ostatnimi stanowiskami oporu wroga, wspierając natarcie piechoty i zwalczając nieprzyjacielskie okręty, które z morza ostrzeliwują nacierające jednostki.

Niemieckie zenitówki rozpoczęły niespokojny, gęsty ogień.

Pod szalonym naporem załamuje się obrona wroga, który podpalając opuszczone przez siebie domy, zaczyna się wycofywać. Oddziały polskie nacierają ze wszystkich stron, ale szalejące w śródmieściu pożary opóźniają natarcie. Niemców w tej chwili nic nie obchodzi, że w gruzy obracają się stare zabytkowe kamieniczki i pełne sło-

wiańskich pamiątek kościoły. Nagromadzona w mieście ludność cywilna, która musiała uchodzić z podpalanych domów, odepchnięta brutalnie z portu, nie ma się już gdzie schronić. Wśród płomieni grupy cywilów masowo przechodzą na stronę oddziałów polskich. Najbardziej zajadle walczący żołnierze wstrząśnięci do głębi brutalnością hitlerowskiego dowództwa wobec własnych obywateli przerywają na ten widok ogień, aby przepuścić uchodźców przez linię frontu.

OSTATNI PIERŚCIEŃ OBRONY

Na linii toru kolejowego toczył się zajadły bój. Grupy szturmowe 14 pułku próbowały kilkakrotnie nacierać na bloki mieszkalne za torem, jednakże wstrzymywał je silny ogień z tych budynków.

Mimo to około godziny 4.00 dwóm grupom z 4 i 6 kompanii udało się bez strat przekroczyć nasyp i nawiązać bezpośrednią walkę w domach. Razem z tymi grupami tor przekroczyli obserwatorzy artyleryjscy, którzy niezwłocznie zorganizowali wysunięty punkt obserwacyjny.

Jedną z grup dowodził osobiście dowódca 6 kompanii, porucznik Majewski; dzieliła się ona na trzy podgrupy: szturmową, osłaniającą i ogniową. Podgrupy uzbrojone były w karabiny, erkaemy, pistolety maszynowe i zaopatrzone w dużą ilość granatów. W grupie ogniowej znajdował się jeden cekaem. Nadto niesiono sprzęt saperski, łomy i miny do wysadzania murów. Każdy „szturmowiec" miał ze sobą duży zapas amunicji. Naboje nie mieściły się już w ładownicach, więc strzelcy wypychali sobie nimi kieszenie i chlebaki, a nawet niemieckie metalowe taśmy, które przewieszali na krzyż przez plecy. Wyglądali w tym bardzo bojowo i podoficer obserwator kompanii moździerzy, plutonowy Wieloch, twierdził, że „na sam ich widok Niemcy narobią ze strachu w portki i bez walki poddadzą się do niewoli".

Obiektem natarcia grupy był narożny dom za nasypem. Telefoniści przeciągnęli na drugą stronę dwa kable.

Zaraz po przejściu przez tor grupa ogniowa otworzyła silny ogień do okien i wejść budynku. Na moment nieprzyjaciel przestał strzelać i wtedy nasi żołnierze jednym skokiem znaleźli się pod domem. Drzwi były jednak zabarykadowane.

— Do okien! — krzyknął Majewski.

W ślad za rzuconymi granatami, szybko, po wysokim parapecie dostali się do środka. Trzeba to było zrobić w szybkim tempie, gdyż już z pięter zaczęły się sypać granaty i rwać się pod ścianami, a z obłożonych ziemią i cegłami okienek piwnicznych otworzyły ogień karabiny maszynowe. W pokoju, do którego wskoczyli, leżało dwóch Niemców rozerwanych granatami, w bocznych pokojach toczyła się walka wręcz. W ruch poszły bagnety. Z pistoletów maszynowych strzelano z bliska. Wkrótce parter został opanowany.

W tym czasie podgrupa ogniowa, wystawiwszy z okien broń maszynową, zaczęła ostrzeliwać ulicę

i sąsiednie bloki, uniemożliwiając przeciwnikowi wykonanie kontrataku lub też ucieczkę z opanowanego przez naszych żołnierzy budynku.

Po piętnastominutowej walce o parter podporucznik Majewski wydaje komendę: „Za mną, chłopcy!" i siejąc seriami z automatu, wbiega na schody prowadzące na pierwsze piętro. Na klatce schodowej spotyka trzech Niemców, którzy rzucają granaty i kryją się do jednego z pokojów. Granaty sycząc staczają się po stopniach schodów na parter, grożąc zagładą podążającym za dowódcą strzelcom. Wszyscy jednym skokiem rzucają się naprzód i strzelając z pistoletów maszynowych, wdzierają się do pomieszczeń na pierwszym piętrze. Granaty eksplodują na parterze klatki schodowej, raniąc biegnącego na końcu strzelca Wiktorniaka, który nie nadążył za nacierającymi kolegami.

Nieprzyjaciel na piętrze broni się zaciekle. Każdy nieomal pokój jest przez niego obsadzony. Strzelec Kowalski, trafiony odłamkiem w czoło, ma twarz zalaną krwią, nie dba jednak o ranę i biegnie wraz z innymi. Nagle w pokoju widzi czterech Niemców, rzuca granat i przyczaja się za futryną. Huk, jeden z hitlerowców wyskakuje i rzuca się na zagradzającego mu drogę Polaka — błyska w powietrzu zdobyczny kordzik z napisem *Alles für Deutschland* i Niemiec pada ugodzony pchnięciem w pierś. Wtem drzwi drugiego pokoju otwierają się i wybiegają trzej hitlerowcy, chcąc się przebić na drugie piętro. W połowie drogi na schodach napotykają strzelca Sokołowskiego i strzelca Jankowskiego, którzy rzucają się

na nich z góry, bijąc kolbami automatów. Wywiązuje się krótka walka, strzelec Sokołowski zostaje ciężko ranny, dwóch Niemców zabitych, a trzeciemu udaje się dostać na schody wiodące na drugie piętro. Dosięga go jednak seria z pistoletu maszynowego kaprala Jarzębiaka i Niemiec stacza się w dół.

Na pierwsze piętro wchodzi podgrupa osłaniająca, a szturmowcy wdzierają się na drugie piętro. Łom i siekiera nie dają rezultatu — drzwi nie chcą ustąpić.

— Dajcie kostkę! — woła kapral Woźniak.

Kostka trotylu wywołuje pożądany skutek. Drzwi wylatują, lecz zza nich natychmiast grzmi salwa. Granat przeciwpancerny rzucony przez strzelca Jakubiaka otwiera drogę. Całe pierwsze piętro zostaje opanowane.

Tymczasem na drugim piętrze prawie wszystkie drzwi są silnie zabarykadowane. Rozpoczęła się strzelanina przez sufit. Jednak i tym razem decydują kostki trotylu. Walka już nie trwa długo. Wróg jest zdemoralizowany i rozbity. Niektórzy nieprzyjacielscy żołnierze wyskakują przez okna na ulicę, gdzie ponoszą śmierć bądź od upadku, bądź też od ognia grupy działającej na parterze.

Grupa szturmowa czwartej kompanii, nacierająca na sąsiedni dom, alarmuje, że od strony portu zbliża się ulicą czołg, a pod jego osłoną kontratakuje piechota nieprzyjaciela.

Rusznice przeciwpancerne zajmują natychmiast stanowiska w oknach. Artylerzyści łączą się ze stanowiskiem ogniowym na baterii. Już z drugiej strony toru daje o sobie znać działo strzelające

na wprost. Ze stanowisk moździerzy meldują, że wszystko gotowe.

Szturmowcy oczekują na zbliżenie się czołgu. Rzeczywiście, po chwili wysuwa się wolno zza rogu ulicy. Rusznice natychmiast otwierają ogień. Czołg sunie dalej, jak gdyby pociski naszych erpepanców* nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Już dokładnie widać posuwających się za czołgiem hitlerowców.

— Bateria, ognia! — podaje przez telefon podoficer, obserwator baterii moździerzy, plutonowy Wieloch.

Pociski padają gęsto pomiędzy nacierających. Nieprzyjacielska piechota przylega do czołgu i do murów, ostrzeliwując silnym ogniem z broni maszynowej nasze stanowiska w oknach poprzednio zdobytego budynku.

Teraz wszystkie środki ogniowe obu grup szturmowych skierowane są na nieprzyjaciela. Ze zdobytego przed chwilą drugiego piętra lecą granaty przeciwczołgowe tworząc lawinę ognia. Atakujący hitlerowcy przylepiają się do ścian domów. Wielu z nich pada. Czołg przestał strzelać i pali się. Reszta hitlerowskich żołdaków ścigana celnym ogniem naszych strzelców zmuszona jest do odwrotu.

Kontratak odparty.

Drugie uderzenie nieprzyjaciela wyszło dopiero przed wieczorem i zostało odparte, przy czym nacierający ponieśli wielkie straty w zabitych i rannych. Ulica przed domem, który utrzymywała grupa szturmowa, zasłana była zabitymi.

* Rusznice przeciwpancerne.

Wieczorem, kiedy zaczęło już szarzeć, ruszyło natarcie pozostałych pododdziałów 14 pułku piechoty z linii toru kolejowego.

Hitlerowcy bronili się rozpaczliwie. Na ulicach co sto metrów pobudowane były barykady, tak że nie można było nacierać czołowo, lecz należało obchodzić je, zdobywając kolejno poszczególne domy.

Walka toczyła się z bliska. Były wypadki, że po jednej stronie cienkiej ściany byli nasi, a po drugiej wróg. W takich sytuacjach wiele szkód wyrządzały Polakom *panzerfausty*, które burzyły domy i niespodziewanie raziły strzelców. Lecz i nasze oddziały używały zdobycznych „pięści pancernych" i to niejednokrotnie z powodzeniem, ponieważ żołnierze dobrze już nauczyli się nimi posługiwać.

Zbliżał się wieczór 17 marca. Miasto rozgorzało pożarami. Wszyscy oczekiwali ostatecznego szturmu, w którego wyniku miał paść port — ostatni punkt obrony Kołobrzegu.

OSTATNIA NOC

Godzina szturmu została wyznaczona na 2.00. O godzinie 1.45 miało się rozpocząć artyleryjskie przygotowanie ataku, z udziałem całej artylerii, a także radzieckich „katiusz".

W jednostkach wszystko zostało przygotowane. Grupy szturmowe skoncentrowały się na pierwszej

linii, tuż za nimi działa strzelające na wprost, działa pancerne i czołgi.

Miasto gorzało. Olbrzymia łuna tysięcznych pożarów rozświetlała ciemności nocy.

Wyznaczona godzina zbliżała się. Wszyscy spoglądali na zegarki. Napięcie rosło. Strzały po naszej i po nieprzyjacielskiej stronie ucichły. Mówiono szeptem.

O godzinie 1.45 z piekielnym jazgotem wyleciały pierwsze pociski „katiusz" i zasnuły niebo świecącymi smugami.

Wybuchy następowały niedaleko przed podstawą wyjściową piechoty. Kto nie widział tego ognia, nie jest w stanie wyobrazić sobie, co się wtedy działo — rzekłbyś, świat cały wali się na człowieka, ziemia trzęsie się w konwulsyjnych drgawkach. Zrobiło się widno jak w dzień. Po niebie sunęły jaskrawe, gorejące pociski i rwały się z piekielnym hukiem niszcząc wszystko.

Wielkie domy, ulice, drzewa — wszystko w jednej chwili zamieniło się w nierówne wertepy i dymiące zgliszcza.

„Katiusze" biły seriami — jedna, druga, trzecia — pociski rwały się w rejonie portu. Huku dział, które równocześnie otworzyły ogień, nie było prawie wcale słychać.

W końcu ogień został przerwany i piechota ruszyła do ataku.

Pododdziały 14 pułku wdzierają się już do zabudowań portowych. Żar przenika przez mundury, pali twarze. Grupa szturmowa drugiego batalionu atakuje wroga. Hitlerowcy wiedzą, że za plecami

mają morze, że sytuacja ich jest bez wyjścia, ale poddać się nie chcą.

— Ciekawe, co to za formacja — mówi starszy adiutant batalionu, podporucznik Bigda, do dowódcy, porucznika Nowotarskiego. Świst lecącego pocisku. Obaj przyciskają się do muru. Wybuch i głuche stęknięcie ziemi. Sypie się skądś drobny gruz i tynk.

— W każdym razie nie Volkssturm — stwierdza Nowotarski otrząsając się z pyłu. — Trzeba ich wypchnąć z tych magazynów, przecież flankują nam skrzydło. Mają tam chyba cekaem, tylko nie wiadomo jeszcze dokładnie gdzie.

— Myślę, że najlepiej byłoby otworzyć na nich ogień, a ja pójdę tam z grupą szturmową.

W chwilę potem karabiny maszynowe otwierają ogień i grupa szturmowa rusza do natarcia. Z gotową do strzału bronią, z granatami w ręku rzucają się na wroga. Po chwili w oknach magazynu widać błyski eksplozji granatów; batalion znów może pójść naprzód. Grupa szturmowa utorowała drogę.

Nagle daleko błysnęło coś, na brzegu u nasady mola. Długi świst i na powierzchni wody basenu portowego wykwitł tulipan wybuchu, a grom eksplozji przewalił się nad wodą i odbił się echem od ścian magazynów. Znowu błysk, szum i fontanna wody. Tym razem znacznie bliżej. Jakieś sto metrów. Wstrzeliwują się.

Wycie lecącego pocisku, wstrząs, jaskrawe światło wybuchu, bryzgi błota i mokrej ziemi. Krople wody wyrzuconej wybuchem biją w twa-

rze jak kulki ołowiu. Odłamki buszują po gruzach. W oczy gryzie dym.

— Chybił! W ogóle strzelają bez pojęcia. To jest zenitka osiemdziesiąt osiem* — mówi Nowotarski. — Zaraz ich wymacamy.

Dowódca towarzyszącego batalionowi działa ociera błoto z twarzy.

— Pięć pocisków, przygotować strzelanie na wprost!

Obsługa staje na miejscach. Celowniczy, schylony za przyrządami, naprowadza działo na cel. Zaczepia linkę spustową. Wszyscy wyczekująco patrzą w jeden punkt — wklęsłość w brzegu mola.

— Ognia!

Silne szarpnięcie linki. Ogłuszający huk wystrzału. Uderzenie fali gorącego powietrza. Cichnie i wydłuża się pomruk mknącego pocisku. Wreszcie wybuch. Trochę krótki. Dowódca podaje poprawkę.

— Ognia!

Znowu huk, wybuch, poprawka. Teraz trzy szybko po sobie następujące strzały.

Nad dalekim molem wisi chmura dymu. Coś się tam pali, wybucha. Przez lornetkę widać fruwające w powietrzu kawałki drzewa i żelaza.

Dowódca działa patrzy długo, wreszcie mówi:

— No, koniec z tą pukawką. Piechota poszła już do ataku.

---

* „Zenitka" — spotykana w gwarze żołnierskiej nazwa armaty przeciwlotniczej. Tu mowa o ciężkiej armacie przeciwlotniczej kalibru 88 milimetrów.

Pododdziały 18 pułku także wdarły się już do budynków portowych tocząc tam ostatnie walki.

Spośród żołnierzy artylerii przeciwlotniczej zorganizowano ochotniczą grupę szturmową, która została uzbrojona w karabiny i pistolety maszynowe. Nie zważając na silny ogień zaporowy nieprzyjaciela przeciwlotnicy przeobrażeni w piechurów przybywają na przednią linię, by wziąć udział w ostatnich walkach.

W sztabie 7 pułku piechoty dźwięczy telefon.

— Osiągnęliśmy kanał portowy — melduje dowódca jednej z grup szturmowych.

— Nacierać dalej! — brzmi nowy rozkaz.

W szarym mroku szkli się woda kanału. Wśród rumowisk, skrzyń, pak i wozów widać przemykające się cienie hitlerowców. Wycofują się do fortu.

Tuż nad wylotem kanału u wejścia do portu stoi na wzgórzu zburzona baszta: stacja pilotów portowych i latarnia morska zamieniona na silny punkt oporu. W jej wnętrzu schroniło się 120 Niemców. Z doskonałych, górujących pozycji morderczy ogień praży piechotę.

Działko przeciwpancerne, które cały czas posuwa się za grupą szturmową, niszcząc skutecznie cele i torując drogę, wysuwa się teraz do przodu i strzela na wprost, wspierając natarcie na fort.

Piechota ma tutaj trudne zadanie. Ostatnia zamykająca wejście do portu pozycja broni się zaciekle. Osłania ona ewakuację resztek garnizonu na barki i kutry. Skrzydła osłania dwustu okopanych w rowach hitlerowców.

— Naprzód! — brzmi rozkaz.

Silna grupa szturmowa w składzie kompanii rusza do natarcia. Udaje im się dotrzeć do okna fortu i zarzucić załogę granatami. Na prawym skrzydle naciera inna kompania 7 pułku. Pod gradem pocisków i granatów hitlerowcy kapitulują. Na forcie powiewa już polska flaga.

Miasto i port zostały już oczyszczone. Ostatni Niemcy chronią się jeszcze na molo, gdzie rozpoczyna się śmiertelna gonitwa.

Wypełniony po brzegi kuter odbija od mola, a jeszcze zewsząd nadbiegają hitlerowcy. Rzucają się wpław mimo salw erkaemów, które sieką po morzu.

Działka przeciwpancerne, które wspierały natarcie, podciągnięto teraz ku brzegowi. Rozpoczynają one ogień do odpływającego statku ponad czerniejącymi w wodzie głowami płynących.

Głucho dudnią salwy ognia artyleryjskiego — na koniec statek staje w płomieniach.

Jeszcze chwilę na końcu mola pod latarnią ostrzeliwuje się beznadziejnie kilku hitlerowców.

Godzina 6.45 — port wzięty. W Kołobrzegu zginął ostatni uzbrojony hitlerowiec. Radośnie biją serca — zwycięstwo!

I trudno się powstrzymać, jeszcze rozpalony od walki, brudny po dziesięciu nie przespanych nocach żołnierz porywa automat i strzela całą serię ponad morzem.

To nasze zaślubiny. To radość z osiągniętego zwycięstwa, z dojścia do morza.

Port został zdobyty. Jednocześnie zdobyto cały dworzec i wyparto hitlerowców nad wybrzeże, niszcząc ich lub biorąc do niewoli.

10, 11 i 12 pułk piechoty także złamał całkowicie opór nieprzyjaciela na swych odcinkach i wyszedł na brzeg w rejonie kąpielisk na wschód od portu.

...*Rano* — opowiada jeden z uczestników tych krwawych walk — *port został opanowany.*

Pamiętam... Wyszliśmy na duży plac koło magazynów zastawiony silnikami lotniczymi, których Niemcy nie zdążyli już wywieźć. W dali na morzu widać było trzy okręty oddalające się szybko, a bliżej przy brzegu wystawały z wody gołe maszty statków zatopionych ogniem naszej artylerii i lotnictwa.

Na brzegu leżało pospołu ze sprzętem wojennym wiele trupów hitlerowskich.

Staliśmy na dopiero co zdobytym cyplu portowego mola. U naszych stóp z szumem rozbijały się o beton fale morskiego przyboju. Za nami leżał pogrążony w majestatycznej, dzwoniącej aż w uszach ciszy Kołobrzeg — twierdza śmierci hitlerowskiej buty.

Na wieży latarni morskiej powiewała już biało-czerwona chorągiew...